

# Odgłosy

NUMER 35 (1326) ROK XXVI

27 SIERPNI 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

• **Macabra alla Polacca**  
• **Kuzyni Nessie w oceanie**  
• **Afera mieszkalniowa w Piotrkowie**

## Tancerze

**Rozmowa z ANNA FRONCZEK i JERZY PIĘTKĄ, pierwszymi solistami baletu Teatru Wielkiego w Łodzi**

Ostatnie premiery baletowe („Koncert f-moll”, „Giselle”, „Stabat Mater”, „Coppelia”) utwierdziły nie tylko miłośników baletu, że w zespole baletowym Teatru Wielkiego w Łodzi znakomicie tańczą i ciężko na swoje sukcesy pracują nie tylko Ewa Wychowawska i Kazimierz Wrzosek.

Z solistek baletu wysoką pozycję i dobre oceny krytyki zdobyła ANNA FRONCZEK, odwołującymi takimi partiami jak: tytułowe „Ognisty Ptak”, „Gajane”, „Giselle”, Zaremba w „Fontannie Bachczysaraju”, Swanilda w „Coppeli”. Artystka mniej znana szerokiej publiczności, choć tańcząca wszystkie główne partie kobiece w drugiej obsadzie premierowej. Dysponująca najlepszymi warunkami fizycznymi wśród łódzkich solistek, znana z wielkiej pracowitości, skromności, wciąż pozostająca w cieniu primabaleriny tego teatru.

JERZY PIĘTKA, pierwszy solista baletu, znany jest w kraju ze swoich wspaniałych warunków fizycznych, wręcz wzorcowych dla tancerza klasycznego. Dziś pierwszy amant łódzkiego baletu, coraz ciekawszy aktorsko i technicznie, chyba w szczytowym okresie swej formy. Znany z takich partii jak: Apollo w „Orfeusz”, Giko w „Gajane”, Młodzieniec w „Symfonii fantastycznej”, Książę w „Królowie Śnieżce”, Książę w „Dziadku do orzechów”, Albert w „Giselle”, Faust w „Faust-story”, Wacław w „Fontannie Bachczysaraju”, Franciszek w „Coppeli”. Z parą czołowych solistów baletu łódzkiego rozmawiamy po pewnym okresie ich kariery, a przed nowym etapem, w który obecnie wchodzi.

### DRUGA

— Podobno tancerką trzeba się urodzić. Patrząc na pani warunki fizyczne, wnioskuję, że do baletu była pani po prostu przypisana?

— Być może to prawda, ponieważ urodziłam się w bardzo małej miejscowości Sianów, gdzie słowo „balet” jest nieznaną, a teatr tam nie dociera. Do szkoły baletowej trafiłam na podstawie ogłoszenia, które rozesłała szkoła baletowa w Poznaniu. Trafiło ono nawet do Sianowa. Wychowawczyni podpowiedziała mi, żeby spróbować, uczęszczałam wtedy na zajęcia taneczne do domu kultury i bardzo lubiłam tańczyć. Rodzice byli przeciwni, ale pogodzili się z losami, gdy zdałam i zostałam przyjęta do tej szkoły. Uczymy się w klasie prof. Olgi Sławskiej-Lipczyńskiej. Po dyplomie (1970 rok) wybrałam teatr w Łodzi, bo zapewniono mi mieszkanie, wcześniej przyjeżdżałam tu ze szkołą na spektakle baletowe.

— Pracę w Łodzi zaczynała pani od etatu tancerki w zespole?

— Tak, w ostatniej linii.

— Długo pani tam była?

— Długo, 5 lat. Z tego okresu zapamiętałam jak pewna primabalerina powiedziała: „Widział dziecko, solistka nie każda tancerka może być, a tańczyć w zespole w ostatniej linii, to chyba żadna satysfak-



Foto: Ch. Zieliński

cja”. Odpowiedziałam: „Ale żeby solistki mogli istnieć na scenie, to musi też istnieć zespół”. Było to 12 lat temu.

— Czy każda tancerka zaczynająca pracę w teatrze ma równą szansę startu, a później rozwoju?

— Wydaje mi się, że każda. Z tym, że oprócz pracowitości, talentu, warunków i umiłowania zawodu trzeba mieć cdrobłą szczęścia. Ja miałam, kosztem cudzego nieszczęścia. W obsadzie „Gajane” byłam z Jurkiem Piętką w tzw. obsadzie trzeciej (przyszłościowej). W tym czasie Małgorzata Zalejska zerwała ściegno Achillesa przeszłam więc w zastępstwie do drugiej obsady. Byłam wtedy koryfeją. W 1979 roku otrzymałam tytuł solistki, od stycznia 1983 r. tytuł pierwszej solistki baletu. Im wcześniej zaczyna się tańczyć, tym rozwój jest lepszy. Nie czuję się wtedy takiego brzemienia odpowiedzialności przy tańczeniu solowych partii jak później. O przyszłości decyduje przede wszystkim praca, co staram się obecnie uświadamiać swoim uczniom w VI klasie łódzkiej szkoły baletowej.

— Debiut w partii solowej?

— Tytułowa „Gajane”, 1975 rok.

— Najtrudniejsza rola?

— Pod względem technicznym tytułowa rola „Ognistego Ptaka” pod względem aktorskim tytułowe: „Gajane” i „Giselle”.

— Najwięcej satysfakcji na scenie?

— Podczas gościnnych występów w Jugosławii, gdzie zgotowano mi tak serdeczną owację za rolę Gajane, że po prostu się rozplakałam.

— Największe rozczarowanie?

— Zawsze marzyłam o zatańczeniu Giselle, ale obsadzono mnie dopiero w trzeciej obsadzie. Byłam skrycie rozczarowana, bo mogłam zatańczyć premierę drugą, może pierwszą. Dobrze, że w ogóle zatańczyłam.

— Były też stresy, załamania, zmęczenie?

— Tak i to liczne. Np. byłam tak załamana pracując w drugiej obsadzie nad tytułową rolą „Ognistego Ptaka”, że choreograf Conrad Drzewiecki doradził mi dwutygodniowy wyjazd do lasu. Była to wielka rola, a czas na jej przygotowanie z drugą obsadą niewielki. Jestem stała psychicz-

nie, dlatego nie wytrzymałam nerwowo. Podobne napięcie towarzyszyło premierze „Fontanny Bachczysaraju”, gdy w przeddzień próby generalnej upadłam na scenie i złamałam rękę. Podczas ostatniej pracy nad Swanildą w „Coppeli” postanowiłam przełamać złą pasję, choć przygotowująca ze mną tę partię Liliana Kowalska zachorowała i opuściła mnie tydzień przed premierą. Ale udało się, zatańczyłam drugą premierę. Przy mojej tak słabej konstrukcji psychicznej dojdzie do pozycji pierwszej solistki uważam za ewenement.

— Ale przecież mimo wszystko tańczyła i tańczy pani wszystkie główne partie, o których marzą tancerki?

— Tańczę. Ale każda solistka chce zatańczyć premierę. Staralam się sobie tłumaczyć, że choć nie tańczę premierowych przedstawień, to przecież i „zwykłej” publiczności na szeregowych przedstawieniach należy się jak najlepiej zatańczony balet, co ona potrafi wspaniale nagrodzić. Podtrzymuje mnie ta świadomość na duchu.

— Ale czy balerina tańcząca nawet najwspanialsze partie może satysfakcjonować samo tańczenie

## Leona Gomolickiego droga do prozy

Z PISARZEM ROZMAWIA JERZY KWIECIŃSKI

— Z rocznicowych okazji zwykliśmy odwoływać się do przeszłości, szukając w niej genezy tego, co dziś święcimy. Ufam więc, że nie poskąpi Pan naszym Czytelnikom osobistych wspomnień o tych właśnie wypadkach i przeżyciach, którym przypisuje Pan wpływ na uformowanie się swojej osobowości pisarskiej.

— Czy pisarz chce czy nie chce, jako zasadnicze tworzywo służy mu jego życie. Tylko przesłana przez jego osobowość — przez pamięć, wrażliwość, uczucie — wiedza nabiera sugestywności i plastyczności. O drodze mojej, nietawnej i długiej, którą odbyłem w poszukiwaniu własnego wyrazu, opowiedziałem w „Dziękach muzach” szczegółowo. W skrócie droga ta zaczyna się w czasach odległych. Mój dziadek po kądzieli został zesłany za udział w Powstaniu Styczniowym do środkowej Rosji, ścisłej do miasta Penzy, gdzie wytworzyła się wtedy z takich samych zesłańców liczna kolonia polska. Tam też urodziła się moja matka. Była ona wszechstronnie uzdolniona. Muzykowała na fortepianie, brała udział w amatorskim zespole dramatycznym, organizowanym przez młodego wówczas Meyerholda, który pochodził z tejże Penzy, studiowała w Moskwie pod kierunkiem Stanisława Żukowskiego sztuki plastyczne, była odczytana w literaturze pięknej. Jej wpływ zaważył na moich zainteresowaniach i pasjach od dzieciństwa. Zadbała ona o moje kształcenie muzyczne, do czego nie miałem wielkich zdolności, przekazała swoje umiejętności malarskie, co dało lepsze wyniki, popierała moje pierwsze próby w pisaniu wierszy, budowała dla mnie scenę kukielkową, robiąc lalki z masy papierowej.

Okres mojego dzieciństwa przerwała wojna, nazwana po jaskinię czasie światową, a później światową pierwszą. Trzydzieści lat spędziłem w małym wołyńskim mieście z przeszłością historyczną. Mieszkaliśmy pół roku z rodzicami w XVI-wiecznej baszcie-prochowni, nad którą znajdowały się komnaty, skąd, zgodnie z tradycją miejscową, porwana została przez Dymitra Sangusze Halszka Ostrogska. Do historii dawnej dopisano nową: burliwe lata rewolucji, wojny domowej, międzywojnia (sama nazwa już jest wymowna), z bezwzględnie bezrobocia, od którego ucieklem do Warszawy, miasta młodości mego ojca. Tam, w warunkach również nietawnych, była jednak przyjaźń z ludźmi, którzy już teraz zamienili się w popiersia z brązu, w legendy z dziejów Skamandra, Kwadrygi i awangardy lubelskiej zamieszkałej w stolicy. Może by to się jakoś ułożyło bytowo, lecz historia napastowała. Czarne lata okupacji w tejże Warszawie, do samego powstania! To był wielki szok mojego pokolenia, do końca życia. Cały nasz świat spłonął w murach zburzonego miasta. Za przykładem innych znalazłem się w Łodzi. Oto suma wrażeń życiowych, które uformowały moją osobowość pisarską.

— Domyślaliśmy się tego z Pańskich powieści. Ale nie Pan nie wspomina o debiucie, o pismach, z którymi był Pan bliżej związany.

— Mój debiut i bliższa współpraca wiążą się z „Kamienią” Jaworskiego. Ale w tamtych czasach główną moją pasją był drzeworyt. Uczęszczałem do szkoły sztuk zdobniczych. Miałem pewne osiągnięcia, a mój profesor, dawny kapista, Gerzabek, wyróżniał mnie. W warszawskim ciepaleńskim spłonął cały mój warsztat. Ocalały ilustracje w tomikach przekładów Włodzimierza Słobodnika.

— Ale odkąd osiedlił się Pan po wojnie w Łodzi, wstąpił Pan na dobre na drogę pisarską?

— Niezupełnie tak. Z początku, a trwało to do roku 1949 podjąłem działalność rusycysty. Miałem dość gruntowną wiedzę wyniesioną z gimnazjum rosyjskiego.

EUGENIUSZ IWANICKI

## Mit i rzeczywistość

W czwartkowym „Fegazie” (4.3.83 r.) minister kultury i sztuki Kazimierz Żygulski mówił o wzmożonej produkcji książek, która w poważnym stopniu ma zaspokoić potrzeby społeczne. Czyli, z trudem, aczkolwiek powoli, wychodzimy z kryzysu, który w sposób bezprecedensowy dotknął polską książkę, a tym samym polską kulturę.

Słuchając tej wypowiedzi chciało się dać w fantary, ogłaszać zwycięstwo lub choćby krzyknąć pełnym głosem: sursum corda! Ale minister Żygulski nie powiedział o jednym: co zrobić, aby te zwiększające się nakłady trafiły we właściwym czasie do księgarń. Prawda na dziś jest taka: wydrukowana książka ginie na długie miesiące w Składnicy Księgarskiej i nikt, ani wydawca, ani drukarnia, ani „Dom Książki” nie wie, kiedy egzemplarze jakiegos tytułu znajdą się na ladach księgarskich.

Czy naprawdę nikt nie wie? Z ostatniego miejsca w Europie, a może nawet na świecie w produkcji książek na głowę statystycznego Polaka na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zaczynamy dźwigać się ku górze. Mimo trwającego kryzysu, dla ratowania edukacji narodowej, znaleziono środki i możliwości nie tylko na zwiększenie tytułów i nakładów, lecz także na dokończenie nowej, wielkonakładowej drukarni w Gdańsku.

Dokładnie rok temu pisałem, że przyczyna, dla której książka się nie ukazuje, jest czasem prozaiczna lub wręcz śmieszna. Już nie chodziło o papier — największe biadolenia słyszano się w okresie, kiedy Polskę zalewały ułotki i piśmka wydawane niemal w każdym zakładzie pracy — nie narzekano na tak zwane moce produkcyjne, lecz mówiono, że nie ma zwyczajnego kleju i sznurka. Nie jest aneg-



**S**tosunki między Polakami a Niemcami są po wielokroć obciążone przeszłością. Ich dzieje liczą o wiele więcej lat niż nasze państwowości. Wierzący one w ostatnim tysiącleciu istotny wpływ na dzieje polityczne Europy, osiągając po II wojnie światowej nowy punkt zwrotny. Dopiero jednak układ podpisany w Warszawie w dniu 7 grudnia 1970 roku, który był bodaj największym politycznym sukcesem Wł. Gomułki, umożliwił powojenny proces normalizacji między Polską a Republiką Federalną Niemiec.

W przeszłości, a więc zarówno przed 1939 rokiem, jak i po II wojnie światowej, a przed podpisaniem układów normalizacyjnych, Polska podejmowała liczne wysiłki służące poprawie stosunków z Niemcami. Wrzesień 1939 roku był tragicznym, bolesnym dla narodu dowodem na flakso sanacyjnych, proniemieckich i germanofilijskich orientacji. Pierwszym sygnałem na to, że siabe jeszcze militarne Niemcy nie zamierzają pogodzić się z klęską 1918 r., ani też na serio traktować zabiegów dyplomatycznych strony polskiej, były rezultaty konferencji w Locarno (1925 r.). Niemcy rzekły się wówczas pretensji do Alzacji i Lotaryngii, w zamian państwa zachodnie odmówiły gwarantowania granicy między Niemcami a Polską oraz Czechosłowacją. Odtąd ponownie granicę wersalską na wschodzie zaczęto nazywać „palącą” i „krwawiącą”, a prawica niemiecka rozpowszechniała przekonanie, że Polska to „państwo sezonowe” (Saisonstaat). Podgrzewano nastroje rewizjonizmu i rewanżyzmu. W tym samym roku, w którym zawarto układ w Locarno, będący klęską polskiej dyplomacji, Niemcy wypowiedziały Polsce dziesięcioletnią wojnę gospodarczą (1925—1934).

Jeden z inicjatorów „wojny gospodarczej”, ówczesny minister spraw zagranicznych, Gustav Stresemann, liczył na gospodarcze załamanie się II Rzeczypospolitej i uczynienie jej powolnej niemieckim żądaniem. Od Locarno po Monachium mocarstwa zachodnie pragnęły za wszelką cenę uniknąć wojny z Niemcami. Cenę tę miały zapłacić Czechosłowacja i Polska. Dlatego też spotkanie marszałka Piłsudskiego ze Stresemannem w Genewie w grudniu 1927 r., musiało pozostać bez jakichkolwiek rezultatów. Niemcy były coraz bardziej głuche na polskie propozycje normalizacji stosunków. Ugody, proniemiecki kurs dyplomacji Becka i układanie się sanacji z hitlerowską Rzeszą, nie stworzyły — wbrew propagandowym zapewnieniom — gwarancji polskiego bezpieczeństwa i równoprawnych bilateralnych stosunków.

W pierwotnych koncepcjach Hitler nie wypowiadał się jasno na temat roli Polski w jego planach podboju Europy. W „Mein Kampf” o Polsce nawet nie wspomina, pisząc jedynie, że „naczelny celem polityki niemieckiej powinno być zdobycie przestrzeni życiowej na terenie Rosji i podległych jej państw kresowych”. Droga do Rosji prowadziła jednak przez Polskę! Rozmiary klęski wrześniowej, a nade wszystko nieludzkie prześladowania Polaków w okresie hitlerowskiej okupacji, dołożyły szczególnie krwawe, gorzkie i bolesne doświadczenia na szale historycznych obciążań w stosunkach między Polakami a Niemcami. Rok 1945 — bezwarunkowa klęska III Rzeszy, miał dla stosunków polsko-niemieckich znaczenie szczególne. Polska powróciła na zachodnią granicę, którą posiadała u zarania swoich dziejów. Za Odrą i Nysą Łużycką powstało nowe państwo niemieckie — Niemiecka Republika Demokratyczna, z którą łączy nas od roku 1950, zawarty w Zorzelcu układ o przyjaźni (NRD uznała w nim ustaloną wspólną granicę), a od roku 1967 — układ o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy.

Jeszcze nie przebrzmiały echa wojny światowej, jeszcze nie zabiły rany milionów jej ofiar, a już rozpad antyhitlerowskiej koalicji stał się faktem. Od użycia w Hiroszimie i Nagasaki straszaka atomowej broni zainicjowały Stany Zjednoczone „zimną wojnę”. Zamiast powojennej współpracy aliantów w odbudowie zdevastowanej Europy,

## PO OBU STRONACH „ŻELAZNEJ KURTINY”

Wspólnota naszych celów i interesów została podczas tej wizyty poważnie wzmocniona — idzie teraz o to, by wzmocnić ją codziennym działaniem. To ewarancja pokoju — wspólnej sprawy obu państw i społeczeństw.

zamiast rzetelnego wypełniania układów z czasów Wielkiej Trójki, zarzucono przez Europę „żelazną kurtynę”. „Zimna wojna” jak słusznie stwierdza J. Kokot, historyk politycznych stosunków polsko-niemieckich „była dla Polski najniższą na tym froncie”, tj. w sferze starań o normalne stosunki dyplomatyczne z RFN. W okresie konferencji poczdamskiej zabiegł strony polskiej koncentrowały się głównie na dwu najważniejszych kwestiach. Obok problemu uznania naszego punktu widzenia na sprawę granicy zachodniej ważnym dla przyszłości stosunków między Polakami i Niemcami było ostateczne załatwienie sprawy wysiedlenia pozostającej na naszych Ziemiach Zachodnich i Północnych ludności niemieckiej. Chodziło

KAROL JÓZEF STRYJSKI

# Między historią a przyszłością

o bezpieczne, najlepsze, uznane granice i narodowy charakter ludowego państwa. Z niepokojem i rozgorączczeniem przyjmowano w Polsce łamanie przez Wielką Brytanię i USA zasad umowy poczdamskiej; odbudowę potencjału gospodarczego Niemiec, zaprzestanie dostaw reparacyjnych i polskich akcji windykacyjnych. Jako akt wrogi wobec interesów i bezpieczeństwa PRL uznano kolejne etapy montowania Bizonii, a następnie Trizonii. Doprowadziło to w efekcie do odrodzenia się państwa niemieckiego, które już wkrótce będzie kwestionowało ostateczność ustaleń podjętych w Poczdamiu.

Od zarania RFN prowadzono tam kampanię rewizjonistyczną, powołując się na... Poczdami. Jednym z pierwszych do wolnie przeinaczających tekst konferencji poczdamskiej i Karty Atlantycznej był kanclerz K. Adenauer. W swojej deklaracji rządowej (20.IX.1949), oświadczył on: „nie możemy w żadnym razie zaakceptować dokonanej później (czyt: poczdamskiej) oderwania tych obszarów przez Związek Radziecki i Polskę”. Adenauer przeoczył świadomie, że to Wielka Trójka (a w kilka dni później i Francja) oderwały te ziemie od Niemiec określając je w Poczdamiu jako „the former German territories”.

Antypolski kurs rządu Adenauera, stojącego się w kryzacki płaszcz — niezależnie od oceny realnej efektywności zagrożenia europejskiego pokoju — musiał niepokoić opinię publiczną naszego kraju i nie tylko. W sferze konserwatywnym politykom poszły rozmaite maści ugrupowania przesiedleńców. Pierwotnie miały one charakter ekonomiczny i bytowy. Podjęciu przez nie działań pod hasłami rewizjonizmu i odwetu sprzyjało utrzymywanie przesiedleńców w stanie labilności obywatelskiej i bytowej. Stąd też ziomkostwa — zachęcane przez zachodnich polityków — do hasła „wspólnoty interesów” dopisywały żądania obrony „prawa Niemców do samostanowienia”, walki przeciw „bezprawiu wypędzenia”, przekształcania Poczdamiu w imię „prawa do stron rodzinnych”. Zapędy nacjonalistów i odwetowców w swoich strefach okupacyjnych po cichu wspierały władze wojskowo-administracyjne W Brytanii i USA.

Proces remilitaryzacji RFN i wyostrzenia jej kursu wschodniego osiągnął apogeum wejściem Niemiec zachodnich do NATO. Rewizjonizm, terytorialne roszczenia do wyłącznej reprezentacji narodu niemieckiego, odbudowa agresywnych sił zbrojnych, wszystko to uniemożliwiało Polsce intensyfikację starań o normalne stosunki dyplomatyczne z RFN. Szansa normalizacji stosunków Niemiec zachodnich z krajami socjalistycznymi, a więc i Polską, została na cały okres „zimnej wojny” zaprzeczona.

## DROGA DO NORMALIZACJI

„Zimna wojna” co prawda nie zdołała doprowadzić do zmiany zasadniczego układu sił w Europie, to jednak na długo zniweczyła idee współpracy narodów na rzecz powszechnego bezpieczeństwa. Pogłębiła polityczny, ideologiczny i gos-

podarczy podział naszego kontynentu; doprowadziła również do zagnieżdżenia problemu niemieckiego. Stopniowo jednak obiektywna tendencja do utrwalenia status quo w Europie okazywała się być silniejsza od awanturniczych koncepcji ekip Adenauera i Erharda. Wpływ na zmianę politycznego klimatu wokół problemu niemieckiego miała zmieniająca się w drugiej połowie lat pięćdziesiątych sytuacja europejska i stanowisko sprzymierzeńców RFN. Przede wszystkim Francja wielokrotnie opowiadała się za koniecznością uznania przez RFN naszej granicy zachodniej i traktowania porządku poczdamskiego jako faktu nieodwracalnego. Postępowały również stopniowo przemiany w samej RFN, w nastrojach i postawach jej ludności, zwłaszcza młodych pokoleń.

Zmiany w układzie między narodowych stosunków, które miały miejsce w latach sześćdziesiątych wywarły znaczny wpływ na politykę zagraniczną RFN, a w tym również na jej stosunek do Polski. Rozpoczęło to skomplikowany proces przystosowywania się Niemiec zachodnich do europejskich realiów politycznych kształtowanych w duchu odprężenia Wschód — Zachód. Ułatwiło to w połowie lat sześćdziesiątych koalicji rządowej CDU/CSU i SPD, utworzonej w 1966 roku z Kiesingerem jako kanclerzem, ograniczone zaktywowanie polityki wschodniej. Obejmując swój urząd, Kiesinger — pisze Hans Adolf Jacobsen, zachodni niemiecki historyk — zwrócił szczególną uwagę na pragnienie szerokości warstw niemieckiego narodu „pojednania z Polską”, której „historii pełnej cierpienia” Niemcy nie zapomnieli i której pragnienie, by „żyć wreszcie na obszarze państwowym o zabezpieczonych granicach”, jesteśmy w stanie „dzisiaj lepiej pojąć aniżeli dawniej patrząc na obecny los naszego własnego, podzielonego narodu”. Jednakże dodał zrazu: „granice zjednoczonych Niemiec mogą być ustalone tylko z rządem ogólnoniemieckim w drodze swobodnie uzgodnionego uregulowania (...).

Wypowiedź ta zaświadcza, z jakim trudem przychodziły wysiłki dopasowania polityki zagranicznej RFN do zmienionej sytuacji. Nowym elementem polityki Bonn było to, iż postanowiono dłużej nie rozmawiać z państwami wschodnioeuropejskimi drogą okrężną poprzez memoranda i półoficjalne komentarze prasowe, lecz poszukiwać kontaktów bezpośrednich.

Wykorzystując sprzyjającą atmosferę polityczną, postępująco odprężenie, strona polska postanowiła nie zaprzeczać pojawiającej się szansy na normalizację stosunków z RFN. Bonn było gotowe do podjęcia rozmów bilateralnych, w sprawie granic i normalizacji stosunków według propozycji Władysława Gomułki z maja

1969 r., już z początkiem 1970 r. Wymiana poglądów pomiędzy Bonn a Warszawą w tej kwestii odbyła się w czterech etapach w okresie od lutego do czerwca 1970 roku. Rozmowy te ujawniły, iż stanowiska obu stron nie były całkiem zbieżne. Polska dążyła do zawarcia z RFN układu o uznaniu granicy zachodniej, zaś Bonn — użyciu siły, co miało być m.in. także formą uznania przez RFN de facto, ale nie de iure naszych granic na Odrze i Nysie Łużyckiej. RFN pragnęła uzyskać klauzulę ostatecznego uregulowania sprawy granic w traktacie pokojowym, równocześnie oczekiwała od strony polskiej „uznania pryncypialnie jedności narodu niemieckiego”.

Po podpisaniu przez Brandta w sierpniu 1970 r. zachodnio-

niemiecko-radzieckiego układu w Moskwie, minister spraw zagranicznych RFN Scheel udał się z początkiem listopada do Warszawy na końcowe rokowania. Wielomiesięczne, żmudne i niełatwe rozmowy doprowadziły wreszcie do podpisania 7 grudnia 1970 roku w Warszawie układu o podstawach normalizacji stosunków między PRL a RFN. Niewątpliwie układ z grudnia 1970 r. można uznać za decydujący punkt zwrotny w stosunkach między Polską a Niemcami zachodnimi, stanowiący pierwszy przykład „dobrowolnego, dwustronnego i międzynarodowego uznanego uregulowania sprawy granic w całej historii niemiecko-polskiej sąsiedztwa”. Kanclerz W. Brandt ocenił ten układ przede wszystkim jako „ostateczne zakończenie cierpienia i ofiar z przeszłości”. W układzie według niego nic nie zostało poświęcone, co by od dawna nie było już dla Niemiec przegrane.

Układ zamknął w kategoriach prawno-politycznych długi okres walki o ostateczne uznanie terytorialno-politycznego status quo, ukształtowane w Europie Środkowej po II wojnie światowej, a w tym przede wszystkim naszych granic zachodnich. Usunięta więc została główna przeszkoda na drodze normalnego ułożenia stosunków z drugim państwem

## ZAPISANE W PAMIĘCI

Układ o podstawach normalizacji oznaczał, iż oba państwa zdecydowane były rozpocząć nowy, konstruktywny rozdział historii stosunków wzajemnych. Jego podpisanie nie stanowiło automatycznie likwidacji „hipoteki obciążań” przeszłości. Układ sam w sobie nie rozwiązywał również wielu aktualnych problemów istniejących w stosunkach między Polską a RFN. Wolę normalizacji stosunków między PRL a RFN przyjęto na Zachodzie z rzadko spotykaną pozytywną jedynomyślnością.



Strona przeciwna przyjęła nasze propozycje rozbrojeniu. Gdzie, w takim razie, popędziliśmy błąd? (tz Monachium)

**P**olityków w latach drugiej wojny światowej, a historyków do dziś nurtuje pytanie, czy lot Rudolfa Hessa do Anglii odbył się za wiedzą, czy też bez wiedzy Adolfa Hitlera. Odpowiedź na to pytanie może bowiem jasnie określić politykę hitlerowskich Niemiec tamtego okresu. Historycy zastanawiają się nad nagłym zwrotem dokonanym pod koniec pierwszej połowy 1941 r. Rezygnacja z realizacji planu „Lew morski” — czyli inwazji Anglii — i przystąpienie do realizacji planu „Barbarossa” — czyli napaści na Związek Radziecki. Skąd takie decyzje? Można oczywiście zakładać, że zdobycie „przestrzeni życiowej”, a także surowców na Wschodzie oraz siły roboczej pozwoli w następnym uderzeniu opanować Wyspy Brytyjskie. Ale można też zakładać, że Adolf Hitler był już niemal pewny, iż Anglia jest dość przestraszona i bez większych targów przyjmie niemieckie „proponowanie pokojowe”. Lot Rudolfa Hessa do Anglii nie stoi w sprzeczności z obu kierunkami rozważań. Hitlerowcy w 1941 roku byli całkowicie przekonani, że wojnę wygra, Anglia musi być pokonana i oddana od wpływów w Europie. Rudolf Hess zresztą nie ukrywał tego w rozmowach z Anglikami.

Kluczem do rozważań na ten temat jest odpowiedź na pytanie

## CZY RUDOLF HESS ZNAŁ DATĘ NAPAŚCI NA ZSRR?

Wystartował on do swego lotu 10 maja 1941 roku, a atak na Związek Radziecki nastąpił 22 czerwca 1941 roku. Czy był to tylko zbieg okoliczności? Są liczne dowody na to, że plan nawiązania kontaktów z księciem Douglasem Hamiltonem został przygotowany dużo wcześniej. Rudolf Hess i Albrecht Haushofer chcieli ścisłać księcia Hamiltona do Portugalii, ale to się nie udało. Podejrzewali, że ich list przejął wywiad brytyjski. Wtedy Rudolf Hess postanowił, że poleci do Anglii. Te przygotowania przebiegały równoległe do przygotowania napaści na ZSRR.

W 1974 roku ukazała się w Monachium książka byłego amerykańskiego komendanta Spandau, pułkownika Eugene'a K. Birta „Hess”, prezentująca rozmowy autora z Rudolfem Hessem. Eugene K. Bird wielokrotnie zapytywał Hessa, czy wiedział o terminie ataku na Związek Radziecki. Byłoby absolutnym absurdem, aby to nie zrozumiał, gdyby zastępca Führera o tym nie wiedział. Można byłoby wnosić, że Rudolf Hess był odsunięty od ważnych decyzji i nie w Trzeciej Rzeszy już nie znaczył. A tak przecież nie było.

Na liczne pytania na ten temat Rudolf Hess kategorycznie zaprzeczał. Oto, jak Eugene K. Bird opisuje jedną z takich rozmów:

„Zanim odleciałem do Wielkiej Brytanii, nie wiedziałem nie o zamiarze Hitlera zaatakowania Rosji. Wiedziałem jednak, że nie był nastawiony przyjaźnie do Związku Radzieckiego.”

To było wszystko, co chciałem mi powiedzieć na ten temat”

Rudolf Hess już wielokrotnie zasłaniał się utratą pamięci. Tak postępowal w niewoli u Anglików, tak postępowal na początku procesu w Norymberdze, aż zaskoczył wszystkich swoim oświadczeniem, że symulował zanik pamięci i może się bronić sam, odpowiadając na wszystkie zarzuty.

Eugene K. Bird jednak nie ustępował. Któregoś dnia poostał Rudolfowi Hessowi 44 strony maszynopisu swojej książki o nim. Następnego dnia

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# Przypadek czy taktyka?

Rudolf Hess zwrócił mi uwagę 30 ze słowami:

— „Chciałbym pomówić z panem jeszcze na temat tego fragmentu, który dotyczy planu Barbarossa. Pisze pan tutaj: „Hitler obawiał się, że Hess może zdradzić plan ataku na Rzeszę. Był on jednym z nielicznych, którzy wiedzieli o ataku planowanym na 6 tygodni, i Hitler wylał ze skóry ze strachu, że Hess może go zdradzić”. Ten fragment pan wykreślił, dlaczego?”

— Ponieważ, kiedy to planem, przyjmowałem, że jest to prawda, ale później, kiedy z panem o tym rozmawiałem, zaprzeczał pan z takim naciskiem, że postanowiłem wykreślić cały fragment.

Hess wlepił we mnie wzrok:

— Pułkowniku, chciałyby, aby pozostawił pan ten fragment dokładnie tak, jak został napisany.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan mówi? — zapytałem — przynajmniej pan tym samym, że przed swym odleciem do Szkocji wiedział pan o planie Barbarossa?

— Pułkowniku, proszę pana o pozostawienie tu tego, co pan napisał pierwotnie.

— A więc wiedział pan coś o planie Barbarossa?

— Tak, wiedziałem.

— To niech pan coś o tym powie.

— Nie teraz — odparł Hess. — Powinno panu wystarczyć, że proszę o zreferowanie tego faktu tak, jak zrobił to pan pierwotnie, zanim pan wszystkie skreślił. I z tymi słowami podreptał w swoich wyartykułowanych toalety...”

Rudolf Hess potwierdził tylko to, co już dawno wiedzieliśmy. Nie mogło być tak, aby zastępca Führera nie był w tajemnicy o planie napaści na ZSRR. A jeśli tak było — bo nie mogło

być inaczej — to i lot Rudolfa Hessa do Szkocji nabiera innego znaczenia. Pamiętajmy bowiem, że w Szkocji, a i później w Londynie Rudolf Hess ani słowem nie zdradził się o przygotowaniach do realizacji planu „Barbarossa”. Lądowanie Hessa w Szkocji było zatem próbą wyłączenia Anglii z gry. Liczono — mylnie oczywiście — że w Anglii są takie siły polityczne, które zgodzą się na pokojowe rokowania na niemieckich warunkach.

— Byłoby dobrze — powiedział Rudolf Hess do księcia Douglasa Hamiltona podczas pierwszego spotkania — gdyby pan mógł zaprosić czołowe osobistości pańskiej partii, aby porozmawiać o istocie spraw, dotyczących naszych propozycji pokojowych.”

sji — Rudolf Hess zdołał ulagodzić wdowę i przekonać ją, że jej mąż stał się męczennikiem wielkiej sprawy. Co zresztą nie przeszkodziło jej później złożyć w Norymberdze obciążające nazistów zeznania.

Pozostaje do rozstrzygnięcia drugie ważne pytanie: jaki był udział Adolfa Hitlera w realizacji tej misji?

W wydanej ostatnio przez „Wydawnictwo Łódzkie” książce Sawwa Dangułowa „Kuzniecki most”, której akcja rozgrywa się w środowisku radzieckich dyplomatów w czasach drugiej wojny światowej, a wśród bohaterów której występują autentyczne historyczne postaci, Józef Stalin wypowiedział po spotkaniu z Averellem Harrimanem i Williamem M.

mentach dokładnie ten tok myślowy, jaki zawarty był w piśmie Hessa do księcia Hamiltona, od razu stało się jasne, co zaszło.”

Ernest W. Bohle pomagał Rudolfowi Hessowi tłumaczyć list do księcia Hamiltona, stąd dia niego stało się to jasne. Ale też poczuł się w trudnej sytuacji, był przecież uczestnikiem przygotowań, które nie wiadomo, jak miały się skończyć. I oto nastąpił finał.

„Próbowałem — wspomina dalej E. W. Bohle — precyzyjnie się do pierwszego rzędu, by powiedzieć Bormannowi, że mam coś do zameldowania Führerowi... Gdy znalazłem się w pierwszym rzędzie, Hitler przyjrzał się powoli poszczególnym ludziom, a ujrawszy mnie powiedział:

ochronił go przez represjami. Natomiast wszystko inne co Adolf Hitler później zrobił było tylko aktorstwem na pokaz dla naiwnych, przed którymi trzeba było się jakoś odciąć od postępu specjalnego wysłannika.

Rudolf Hess poleciał do Szkocji na samolocie „Me-110” specjalnie przygotowanym do takiego lotu. Do samolotu tego wmontowano dodatkowe zbiorniki na paliwo oraz radiostację dalekiego zasięgu. Rudolf Hess raz już próbował lecieć do Anglii, ale musiał wrócić z powodu złej pogody. Przez cały czas przygotowań trenował loty na „Me-110” dla niego przygotowanej, zbierał informacje meteorologiczne z Wysp Brytyjskich. Czy to wszystko mogło ujść uwadze policji Heinricha Himmlera? Czy nie musiało dotrzeć do wiadomości wywiadu i kontrwywiadu i to zarówno partyjnego, jak i wojskowego?

Po 10 maja 1941 roku Hermann Göring miał pretensje do Willi Messerschmitta, konstruktora samolotów „Me”. Wezwał go do Monachium i oświadczył na powitanie:

— „No cóż! Gdyby to od pana zależało, każdy, jak widać, mógłby wylecieć sobie „Messerschmittem”!”

Zapytałem go, co przez to rozumie, a na to Göring:

— Pan przecież dobrze zna tego łobuza Hessa.

— Ale przecież Hess to nie jakiś tam pierwszy lepszy — odparłem.

Göring powiedział spokojniejszym głosem:

— Zanim pan taktemu człowiekowi oddał do dyspozycji maszynę, trzeba było wpięć zasięgnąć opinii.

Zareagowałem z punktu:

— A jeśli pan przyjdzie do moich zakładów i zażąda samolotu, czy mam w takim wypadku również wpięć pytać Führera, czy wolno mi go panu wydać?

To na nowo rozeźliło Göringa. Odpowiedział też ostro:

— Jest ostatecznie jakaś różnica — ja jestem ministrem lotnictwa!

— A Hess jest zastępcą Führera — odciąłem się.

Na to Göring:

— Ależ, Messerschmitt, musiał pan chyba zauważyć, że ten człowiek jest wariatem!

— Jakże mogłem przypuszczać — odparłem sucho — że wariat zajmując w Trzeciej Rzeszy tak wysokie stanowisko. Jeśli tak było, powinien pan być nakłoniony go, aby się podał do dymisji, panie marszałku!

Göring roześmiał się w głos:

— Pan jest niepoprawny, Messerschmitt. Niech pan już lepiej idzie i buduje dalej swoje samoloty!”

Zaiste pomysł ze zrobieniem z Rudolfa Hessa człowieka niepoprawnego nie był najlepszy, ale też i Hess uchwylił się go później i w Norymberdze narobił masę kłopotu wszystkim, ze współoskarżonymi włącznie. Ale to zupełnie już inna sprawa.

Rudolf Hess jest jedynym przywódcą Trzeciej Rzeszy, który najdłużej, bo

## OD 10 MAJA 1941 R. PRZEBYWA W WIEZIENIU

Najpierw w Anglii, później w Norymberdze, a później w Spandau w Norymberdze kary śmierci nie otrzymali następujący oskarżeni:

— Karl Dönitz, który został skazany na 10 lat więzienia, wyszedł 1 października 1966 roku, po odbyciu całej kary, zmarł 24 grudnia 1980 roku,

— Walter Funk, skazany na dożywocie, wyszedł ze Spandau 16 maja 1957 roku, po odsiedzeniu 11 lat więzienia ze względu na zły stan zdrowia, zmarł 31 maja 1960 roku;

— Constantin von Neurath, skazany na 15 lat więzienia, wyszedł po 8 latach również ze względu na zły stan zdrowia, zmarł 14 sierpnia 1956 roku;

— Erich Räder, skazany na dożywocie, wyszedł po 10 latach ze względu na zły stan zdrowia i podszedł wiek, zmarł 6 listopada 1960 roku;

— Baldur von Schirach, skazany na 20 lat więzienia, odsiedział całą karę, zmarł 8 sierpnia 1974 roku;

— Albert Speer, skazany na 20 lat, odsiedział całą karę, zmarł 2 września 1980 roku.

Jedynym więźniem Spandau pozostał Rudolf Hess.



Rudolf Hess i Herman Göring na ławie oskarżonych w Norymberdze.

## Dokończenie ze strony 1

dotąd fakt, że dyrektor drukarni dzwonił do dyrektora wydawnictwa i mówił, iż owszem, książka taka to taka jest wydrukowana, lecz jeśli nie będę miał tyle, a tyle kilogramów kleju (czym był to sznurek do szycia), cały nakład odkładam do lepszych czasów. Dziś rozmowa dyrektorów wygląda nieco inaczej, choć to w niczym nie zmienia losu książki. Dyrektor drukarni mówi: owszem, książkę wydrukowałem, niczego mi nie brakuje, ale u mnie wąskim gardłem jest introligatornia. Nie przyspiesza, bo nie mam możliwości. I tu zaczyna się wyliczanka: park maszynowy się starzeje, brakuje części zamiennych, nie ma czym remontować linii do opraw bezszyciowych i linii opraw twardej itd. itp. Mówiąc obrazowo, trzeba to przedstawić tak; możliwości druku są istotnie duże, natomiast z oprawa jest wręcz katastrofalnie. Po prostu wąskie gardło.

Kiedyś, kiedy kupowaliśmy licencje, sprawdzaliśmy maszyny z zagranicy, przyszłość rysowała się różowo. Nadszedł jednak czas, kiedy skończyły się gwarancje i dewizy. Co dalej? Można byłoby dorabiać brakujące części i zespolić, tylko gdzie to robić? Nie mamy w kraju takich warsztatów i zakładów. Fachowcy szacują, iż polska poligrafia, aby osiągnąć stan dzisiejszej poligrafii europejskiej, potrzebuje na to 10 lat. Za 10 lat świat pójdzie dalej, uczyń w tej dziedzinie kolejny milowy krok, a my pozostaniemy nadal kopciuszkami, może i pięknymi, ale kopciuszkami.

Zalóżymy zatem, iż mimo tych wszystkich trudności, książka przybiera swój ostateczny kształt i może być przekazana do rąk czytelnika. Jest to założenie z gruntu teoretyczne, bo wydrukowanie i oprawienie książki, a nawet wyeksponowanie jej poza mury drukarni, wcale nie znaczy, że książka rozpoczęła swój samodzielny żywot. Po prostu jej nie ma, fizycznie nie pojawia się w księgarniach.

Sledząc drogę książki od wydawcy do czytelnika, przeprowadziłem rozmowy z JACKIEM ZAORSKIM — dyr. Wydawnictwa Łódzkiego, STANISŁAWEM NIEDZIELSKIM — dyr. Łódzkiej Drukarni Dzielowej, JOZEFEM IRZYŃCEM — dyr. Składnicy Księgarskiej i STEFANEM CZARNECKIM — dyr. PP „Dom Książki” w Łodzi. Wytonili się przede mną obraz smutny i zatrważający, daleki od optymistycznego wizerunku, jaki nakreślił w audycji telewizyjnej minister Żygulski.

Kiedy zapytałem JACKA ZAORSKIEGO, dlaczego od pewnego czasu nie ma na rynku czytelniczym nowości wydawanych przez jego oficynę, gwałtownie zaprzeczył. Co znaczy nie ma? WŁ realizuje swój plan i książki systematycznie opuszczają drukarnie. Ale czas, jaki upływa od tego momentu do chwili pojawienia się książki w księgarni ostatnio się wydłużył i sięga czasem trzech i więcej miesięcy. Np. książeczka dla dzieci „O Lechu, Czechu i Rusie” (drukowana w dwóch etapach: część w czerwcu, a część w lipcu br.), gdzieś się zawieszyla. Co prawda kilka tysięcy egzemplarzy trafiło tzw. tranzytem (cztery łódzkie księgarnie biorą pewną ilość wprost z drukarni), ale to kropla w morzu i należy to traktować jako załedwie sygnał, że taka pozycja lada dzień pojawi się w całym kraju. Reszta — znajduje się w Składnicy Księgarskiej, choć została zakupiona przez Składnicę, niejako, na pniu.

Dla wydawcy książka jest sprzedana w momencie, kiedy opuszcza ona hurt i przechodzi do detalu (hurt — to Składnica Księgarska, detal — to księgarnie). Dopóki jednak znajduje się w Składnicy jest traktowana jako depozyt, chyba, że Składnica zakupuje ją na tzw. pniu, czyli płaci z góry. Są ustalenia zalecające, by książka w Składnicy nie leżała dłużej niż 2 — 3 tygodnie. Po tym okresie winna być wyeksponowana. Natomiast wydawca w ciągu tego czasu musi zapłacić drukarni za wydrukowaną książkę. Tymczasem Składnica Księgarska z różnych powodów nie jest w stanie tej książki przekazać księgarniom. Wówczas powstaje sytuacja finansowo zagmatwana: „Dom Książki” nie otrzymał tego tytułu i nie ma co sprzedawać. Wydawnictwo Łódzkie nie otrzymało pieniędzy za tę książkę od Składnicy Księgarskiej, bo sama Składnica skoro książki nie wyeksponowała, nie wzięła pieniędzy za nią od „Domu Książki”. Natomiast Wydawnictwo Łódzkie nie mając pieniędzy ze Składnicy Księgarskiej, nie może zapłacić drukarni za druk. Koło się zamyka. Ale jest to koło błędne.

Cały galimatias wziął się stąd, że do kultury mechanicznie zastosowano system finansowy obowiązujący w przemyśle i handlu. Bo jeśli buty po wyprodukowaniu ich przez zakład trafiają natychmiast do handlu, to książka po drodze ma jeszcze pośrednika. System zdający egzamin przy produkcji i sprzedaży chleba, twarogu czy miodu, nie ma zastosowania w przypadku książki, która może leżeć na półkach przez kilka lat bez obawy, że spleśnieje lub straci wartości odżywcze. Zilustruję to przykładem. Wydawnictwo Łódzkie wypuściło książkę Jerzego Turowskiego „Prawda i model w historiografii”, zbiór szkiców metodologicznych omawiających rozwój badań historycznych na świecie. Czy ta książka stanie się bestsellerem? Czy będą się o nią tworzyć kolejki i zanalizować znaczna sprzedaż? Nie ma to do książki przeznaczona dla ludzi nauki i studentów. Tęch obecnych i tych z lat następnych. I ta książka musi być w księgarni przez lata, czekając na swojego nabywcę. Nakład tej książki nie przekroczył 1000 egzemplarzy, więc wiadomo, iż nie będzie sensu, wznowić jej co dwa lub trzy lata. Dlatego musi pozostać w księgarni jako zapas. Zapasy w księgarstwie — to jednak odrębny temat.

Dyr. „Domu Książki” STEFAN CZARNECKI od razu zastrzegł się, że będziemy poruszać się w kolejnym błędnym kole. Przecież by mieć zapasy, bank musi udzielić nam kredytu. Ale nie udziela. To znaczy udziela, jednak w wysokości o wiele za małej. Na przykład lat 1981/82 ich wysokość wynosiła 53 mln złotych, (Książki wówczas były jeszcze stosunkowo tanie) dziś kredyt ten jest załedwie 44-milionowy.

# Mit i rzeczywistość

Bank zapewne kalkulował tak: skoro ludzie biorą, wszystko co tylko pojawi się na ladach, nie ma potrzeby inwestować w jakieś tam zapasy, bo przecież ich nie będzie. I jest to prawda, ale częściowa. Owszem, we wspomnianych przez mnie latach tak było istotnie i półki świeciły pustkami. Ale dzisiaj zaczyna się rysować realna nadzieja na stabilizację rynku księgarskiego. Lecz by to osiągnąć niezbędne są zapasy. By je zdobyć — musi być odpowiedni kredyt z banku. „Dom Książki” chcąc zapewnić półki płaci karne odsetki za przeterminowane należności za zakupowane książki. Zresztą takie same odsetki płaci Wydawnictwo Łódzkie drukarni za wydrukowaną książkę, która nie została kupiona przez „Dom Książki” (bo jej nie wyeksponowała Składnica Księ-

garska), natomiast drukarnia płaci takie same odsetki za papier, bo Wydawnictwo Łódzkie nie zapłaciło drukarni w terminie za wydrukowaną książkę. W ten sposób mamy kolejne koło bez wyjścia.

Zawsze zastanawiałem się, dlaczego do Łodzi trafia tak mało książek. Otóż latem br. wprowadzono nowe wskaźniki przydziału książek dla poszczególnych miast. Te wskaźniki obowiązywały i przedtem, i były mocno krytykowane. Teraz Łódź znalazła się zupełnie „iz na szarym końcu, choć jest drugim miastem w kraju, a kryterium przydziału opierało się właśnie na liczbie mieszkańców. Nie tak dawno bulwersował nas wskaźnik dla Łodzi wynoszący 5,9 proc. (przy 7 proc. ludności w skali kraju). Potem podwyższono go do 6,2 proc., a teraz mamy aż 6,5 proc. Ten przyrost nie nieznaczny i niczego nie zmienia. Te 6,5 proc. dotyczy całej puli książek będących w dyspozycji Składnicy Księgarskiej, są to egzemplarze z tej ilości, jaka pozostaje na zapotrzebienie całego PP „Domu Książki” w Polsce po uprzednim wyłączeniu wszystkich rezerw i książek rozprawianych innymi kanałami (np. przez „Ruch”, księgarnie specjalistyczne, własne księgarnie niektórych wydawnictw). Tak więc Łódź ponownie zajmuje zaszczytne ostatnie miejsce. Ciekawie na mapie przydziałów wygląda Warszawa: przy 11 proc. ludności w skali kraju ma ok. 18 proc. przydziału (kiedyś miała jeszcze więcej). Wiadomo — stolica. Dlaczego jednak większy przydział od Łodzi posiada Wrocław, Kraków, Szczecin czy Gdańsk?

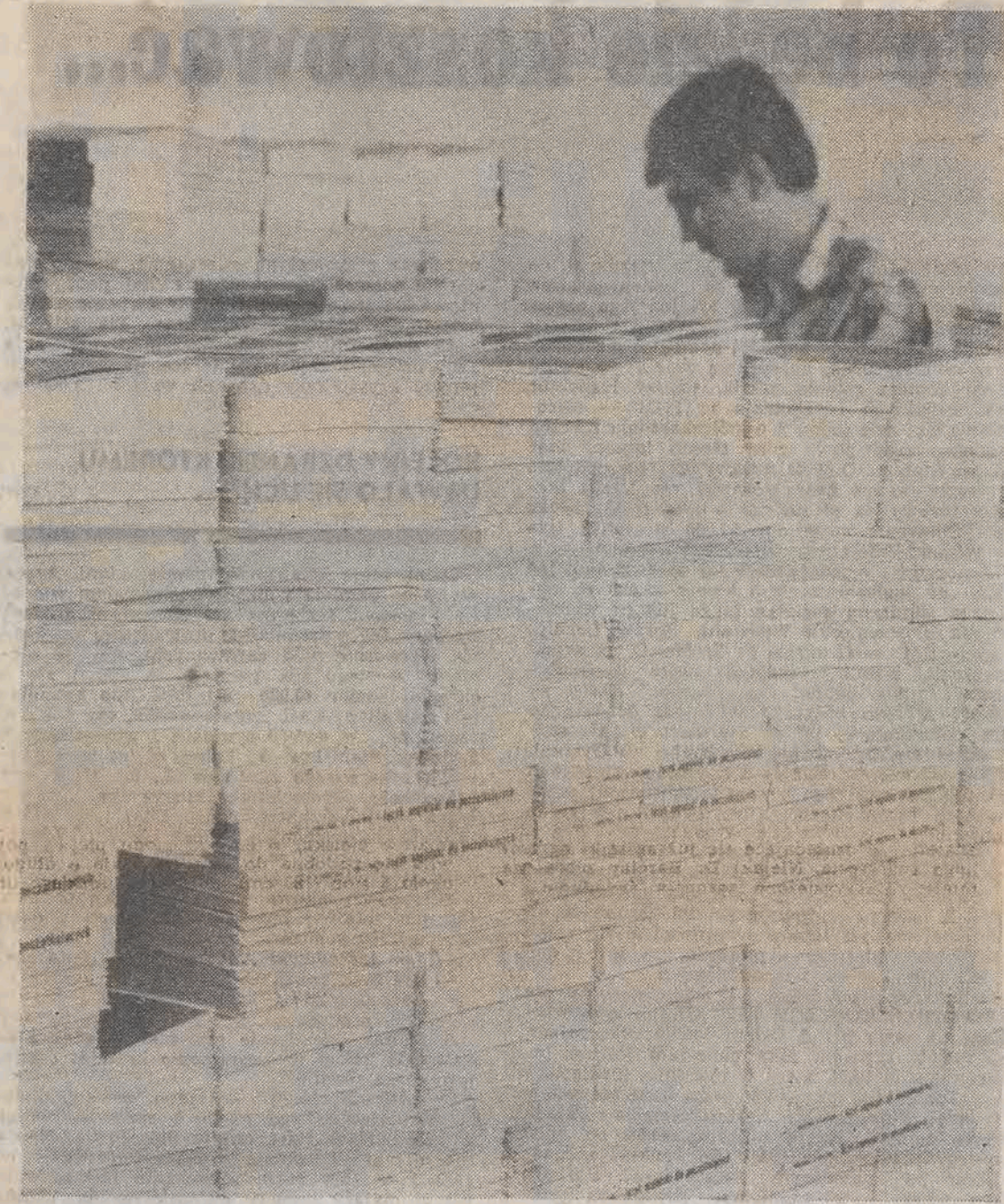


Foto: M. Zajdlar

W Łódzkiej Drukarni Dzielowej dyr. STANISŁAW NIEDZIELSKI, kiedy zapytałem go o coraz bardziej wydłużającą się drogę książki, uderzył się w łeb i podniósłszy dwa palce w górę złożył uroczyste zapewnienie, że książki w drukarni nie są przetrzymywane. A to z dwóch powodów: po pierwsze — nie ma magazynów, po drugie — wyeksponowana książka to przecież realne pieniądze. Owszem, nie jest łatwo wysłać książki, szczególnie po wprowadzeniu przez ministra łączności ograniczeń wagowych paczek (kiedyś paczka mogła ważyć do 20 kg, dziś załedwie do 10 kg). W ŁDD przy pakowaniu paczek pracuje 10 osób, które w

kumiesięcznego opóźnienia byłby sprzedawany tuż po zakończeniu druku.

Mówiąc o rzeczu, trzeba obiektywnie stwierdzić, że bez jej pomocy droga książki do czytelnika byłaby jeszcze dłuższa. Kto mógłby zawiązać książki Wydawnictwa Łódzkiego, powiedzmy, do Poczty Dolnego lub do Górnych Piszczeli? Ani wydawca, ani „Dom Książki” nie posiadają odpowiedniego transportu. A skąd paliwo do samochodów, by wieźć te kilka egzemplarzy na drugi koniec Polski? Z konieczności więc poczta pozostaje jedynym przewoźnikiem, który może dostarczyć paczkę z książkami do najodleglejszych zakątków kraju. A że po drodze książki giną z paczek lub gdzieś przepadają całe paczki? Co w tym kraju nie ginie!

Wszyscy moi dotychczasowi interlokutorzy niedwuznacznie wskazywali na Składnicę Księgarską, jako na przyczynę opóźnień książki na rynek czytelnicy. Zaczynamy nawet sobie wyobrażać tamtejszego dyrektora, jako kogoś, kto stoi przy bramie i nie wypuszcza samochodów załadowanych książkami.

Dyr. Składnicy Księgarskiej JOZEF IRZYŃCIEK chętnie pokazał mi swoje gospodarstwo: olbrzymie magazyny robiące wrażenie nigdy nie kończących się, tysiące paczek ułożonych pod sufity, kilka osób pracujących przy pakowaniu. Czysta, dużo światła i tyłek kurzu. Jest to największa chyba składnica w kraju, zajmująca ok. 14 tys. m kw.

Jest ich w Polsce siedem. Nazywają się ekspozyturami. Do nich dochodzi jeszcze ekspozytura wydawniczo-fonograficzna z siedzibą w Warszawie i z magazynami w Łodzi, oraz ekspozytura wydawnictwa importowanych mieszcząca się w stolicy. Do zadań wszystkich tych ekspozytur należy przyjąć towar, posegregować go i wysłać zgodnie z zamówieniami odbiorców. Czy to są czynności proste? I tak i nie.

W ubiegłym roku z Łódzkiej Składnicy wyszło około 1 miliona paczek z krajowymi wydawnictwami, co zostało załadowane do 500

wagonów dwudziestotonowych. Wartość tych wysyłek sięgnęła 1 mld zł. Do tego trzeba doliczyć płyty w ilości 150 tys. sztuk za 1 mld złotych. Ten rok zapowiada się jeszcze lepiej, bo już za siedem miesięcy wyeksponowano stąd 676,5 tys. paczek z książkami i 70 tys. paczek z płytami. Dodajmy do tego, że sama Składnica Księgarska przyjęła do rozpakowania 800 tys. paczek — a obraz będzie pełny. Jest to więc niemal gigantyczna machina, gdzie odbywa się nieustająca rotacja: jedne paczki przychodzą i trzeba je w miarę szybko rozpakować, inne paczki, już zapakowane tu na miejscu — wysłać.

Wspomniałem, że wzrasta produkcja książek, że pomalutku usiłujemy z ostatniego miejsca w Europie przesunąć się ku środkowi. Wspomniłem także, że łódzkie magazyny są największe w kraju, więc tu kieruje się gros wydawanych książek. Szczególnie dotyczy to książki wysokonakładowej. Są dni spokojniejsze, ale bywa, że dostarcza się do Składnicy nawet 12 tysięcy paczek. Składnica nie wie kiedy nastąpią dostawy książek i dlatego wprowadzono tu ciągłe pogotowie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że do tej morderczej pracy skierowano całe zastępy silnych, zdrowych mężczyzn, dla których paczka z książkami nie stanowi specjalnego ciężaru. Nic z tych rzeczy. Widziałem owych Herkulesów: są to w większości młode, szczupłe dziewczęta, przez których ręce przechodzą dzienne tony papieru.

Składnica Księgarska zatrudnia 200 osób, w tym 75 proc. stanowią kobiety. W większości załoga jest młoda, ponad połowa zatrudnionych nie przekroczyła 30 roku życia, w większości są to młode mężatki i matki małych dzieci. To wcale nie ułatwia pracy: urlopy macierzyńskie, urlopy opiekuńcze itp. W dniu, kiedy byłem w Składnicy nieobecne były 72 osoby, z czego 46 przebywało na urlopach wypoczynkowych, a 26 korzystało ze zwolnienia lekarskiego. Taka sytuacja jest tu czymś normalnym: przeciętnie dziennie brakuje 15 proc. załogi. A paczek przybywa, drukarnie przysyłają coraz więcej tytułów, księgarnie domagają się szybszej wysyłki, bo nie mają czym handlować. Na ulicę Stalową nikt nie kwapi się do roboty, a mężczyźni wręcz się śmieją na propozycję za taką harówkę zarobić na koniec miesiąca aż 8 tys. złotych! Proszę policzyć: jedna pakowaczka w ciągu dnia pakuje 160 paczek, z których każda waży ok. 10 kg. Oznacza to, że każda kobieta przerzuca w ciągu ośmiu godzin pracy 1,5 tony towaru. Kto pójdzie na takie kokosy? Stąd tak wielka rotacja wśród paczkarek.

Jak na ironię, kiedy magazyny były budowane wyposażono je w najlepszy, jakim wówczas dysponowano, sprzęt mechaniczny i zmechanizowany: wózki widłowe podnośnikowe, maszyny do sznurowania oraz taśmociąg. Szły lata, a że nic nie jest wieczne, więc dziś po maszynach i wózkach pozostało jedynie wspomnienie. Owszem, stoją, ale bezużyteczne, bo nie ma do nich części zamiennych. Całą pracę przejęły na swoje wzięte barki kobiety, a ich sprawne ręce pakują tysiące i setki tysięcy paczek. Na maszynie jedna pakowaczka potrafi przygotować 160 paczek dziennie, lecz jeśli maszyna jest niesprawna, tych paczek będzie 120. Znowu należałoby dokonać przeliczenia, z którego wyjdzie, że pakowaczka co 4 minuty oddaje jedną paczkę. To są chyba najlepsze nasze automaty, jakie znam.

Oczywiście paczka paczce nie jest równa, bo np. do księgarni w Pabianicach czy w Piotrkowie wysyła się paczki 10-kilogramowe. Jednakże są małe księgarnie w małych miasteczkach, które zamawiają konkretnego tytułu 2 lub 1 egzemplarz. Niby różnica ogromna, ale przygotowanie każdej paczki wymaga niemal identycznego zaangażowania. W NRD ten problem rozwiązano dość szczęśliwie, bo zamiast każdorazowo wysyłać do jakiegoś Poczty Dolnego (zresztą zgodnie z zamówieniem tamtejszej księgarni) po jednym egzemplarzu książki, te egzemplarze odkłada się na półkę z napisem „Pocim Dolny”. Kiedy książek się już trochę uzbiera, wówczas pakuje się je w jedną dużą paczkę i ekspeduje się via poczta do księgarni w Poczcie Dolnym. Jest to pomysł prosty, a oszczędzający ludzki trud i sporo grosza.

Dla Składnicy byłoby wielkim ułatwieniem, gdyby „Dom Książki” odbierał należne mu książki wprost z drukarni. W Krakowie ponoc takie próby uczyniono z pozytywnym dla wszystkich zainteresowanych stron. A póki co, droga książki z drukarni do czytelnika nie ulegnie skróceniu.

Znaleźliśmy się na drodze, u wjazdu do której stoi znak „Droga bez wylotu”. Można oczywiście usunąć znak, ale niczego to nie zmieni. Optymizm ministra kultury i sztuki Kazimierza Żygulskiego jakimś mi się nie udzielił. Nadaję twierdząc, że za wszelką cenę należy dokonać radykalnych oszczędności, i to tych na samym szczycie. Spójrzmy na sprawę poprzez reformę: księgarnie będą zainteresowane sprzedażą książek chodliwych, bestsellerów, takich, co to rozchodzą się w ciągu kilku godzin, bo nie ma wystarczających dotacji na gromadzenie zapasów. Skoro zapasów nie będzie, wydawcy przestaną wydawać książki trudne, choć wartościowe poznawczo i naukowo. Przerzucają się na, powiedzmy, „Sztukę kochania” lub „Kuchnię polską”. Życie zdominuje książka łatwa, bez głębszych przesłań moralnych, etycznych i estetycznych. Zniknie także książka naukowa, specjalistyczna, o wąskiej tematyce. Jest to wizja przerażająca, lecz wszystko wskazuje na to, że może ona nastąpić. Logiczną konsekwencją takiego stanu będzie zabuzanie edukacji kulturalnej. Czytelnik otrzyma co prawda książkę atrakcyjną, ale łatwą, bez wielkich wartości poznawczych.

Zabierając głos — któryż to już raz! — na temat przyszłości polskiej książki, chciałbym wreszcie otrzymać odpowiedź od kogoś kompetentnego, kto by mi wyjaśnił dlaczego jest ciągle tak źle, choć słyszę, że jest coraz lepiej.

EUGENIUSZ IWANICKI

**I**nny proces, a i czasy inne... Kiedy w 1912 roku, po kilkudziesięciu miesiącach śledztwa na drugim piętrze gmachu Sądu Okręgowego w Piotrkowie toczył się zaczął proces jasnogórskiego zakonnika, który okradł skarbiec klasztoru i w rezultacie męskiej zazdrości zgładził podstępnie małżonkę swojej kochanki, a swego stryjecznego brata, właściciela hoteli miejskich uniżenie przeproszał za niemożność zakwaterowania wszystkich chętnych uczestniczenia w spektaklu o makabrycznych akcentach. A przybyli również dziennikarze i to nie tylko z Warszawy i Petersburga. Też z Wiednia, Paryża i zza oceanu.

Teraz, po z górą siedemdziesięciu latach, „zwykły procesik”. Dwudziestu oskarżonych jeszcze w pierwszym dniu rozprawy, i już siedemnaście w pierwszym, bo trzy osoby wyliczono do odrębnego postępowania ze względu na znikomą rolę przestępczą.

Upalny sierpień. Fronton gmachu Urzędu Wojewódzkiego, a jednocześnie Sądu Wojewódzkiego w remoncie, więc wchodził się do budynku od strony cichej uliczki Toruńskiej, jak niektórzy powiadają, „Archivalnej”, bo to jest właśnie główne wejście do Wojewódzkiego Archiwum Państwowego.

Na dzień 1 sierpnia br., czyli dzień rozpoczęcia „procesu mieszkaniowego” zainteresowani stawili się w komplecie. Też trochę zatrudnionych członków rodzin oskarżonych. Ale prawie bez publiczności. Ta sama sala 211, „sala Macocha”, jak ją od siedmiu dziesięcioleci nazywają. Tylko, że teraz nosi numer o wiele wyższy 535. I posiada wyszczelnione fotele, więc jest jakoś konferencyjno-teatralnie. Oskarżeni niby to uhonorowani, bo w pierwszych rzędach. Tylko ci funkcjonariusze MO pośród nich.

## NAJBARDZIEJ SŁYCHAĆ WYSOKI SĄD

— przewodniczącego sędziego Mariana Bałińskiego, młodego, o ciepłej tonacji głosu, choć jak trzeba, stanowczego. Słychać odzwajające się gdy należy oskarżyciela publicznego. Już mniej obrońców. Ci kojąco zwracają się do swoich klientów czy świadków obrony. A oskarżeni, trudno się dziwić, nie są zainteresowani, żeby ich słyszano. Więc wiadomo o czym mówią dzięki przewodniczącemu sądu sędziowskiemu dyktującemu ich zeznania protokołancko-maszynistnie. I tak to już będzie w drugim dniu rozprawy, w piątym, dziesiątym...

Akt oskarżenia wraz z usadnieniem obejmują tylko ponad 100 stron maszynopisu. Jest lektura pouczająca. Mówi o stosunkowo krótkim okresie działalności ludzi (lata 1976—1982), którym społeczeństwo powierzyło sprawiedliwość w szczególności wrażliwej materii naszego życia — przydziału mieszkań spółdzielczych, ich sprzedaży, gospodarowania nimi. Nazwiska, kwoty w złotych polskich, w dolarach USA, opisy czynów uznanych za karalne, nazewnictwo dóbr, które stanowiły łapówki w toku trwałego procesu nazywanego „pożyczkami”, „prezentami”, „darowiznami w dowód sympatii” („bo po prostu ja lubię”), „powie o oskarżenie” (był pracownikiem Piotrkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej świadek, który w zawrotnym, jak na nasze warunki, tempie otrzymał mieszkanie spółdzielcze. Prezentami są przede wszystkim trunki, stodoły, ale też rajstopy, kryształ, kożuszek dziecięcy, serwis do kawy, tyżeczki).

Najwięcej mówi akt oskarżenia o pieniądzu. W trakcie procesu także mówi się o pieniądzu. Oskarżeni, świadkowie obrony stają się jednak tak, jakby... sankcje prokuratorskie przeszkodziły w oddaniu tych „pożyczek”. 15 sierpnia, w pierwszym dniu zeznań świadków jedna z pań-zdobycywni w szybkim czasie mieszkania, powiada o koleżance ze spółdzielni mieszkaniowej, że właśnie „od tamtego czasu (czyt.: przekazania pieniędzy, no, „pożyczek”) dopiero dziś się zobaczyły, tu w sądzie...”. Wokół pieniędzy trwa największy spór. Ktoś komuś wyczył 30.000 zł, ale strona przeciwna powiada, że tylko 20.000 zł. Zdarza się, że jedna strona mówi o 20.000 złotych, a druga... o dwóch tysiącach.

## MAMY DO CZYNNIENIA Z ROZSYPKĄ SOLIDARNOŚCI

A przecież byli „układającymi się stronami”, „biorcami” i „dawcami”, bądź pośrednikami. Zawierali „transakcje” w biurze Piotrkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, czy Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego. Ale też na korytarzach tych urzędów, np. urzędu zatrudnienia (i), w prywatnych mieszkaniach, na ulicach, w taksówce. Również w lokalach gastronomicznych od podrzędnej „Dworcovej” po reprezentacyjny motel „Polichno”.

26 października 1982 roku okazał się feralnym dniem. Nie tylko trzynastego od dzbanka ucho się urywa, czy autobus przejeżdża ulubionego psa... 26 października ubiegłego roku Maria K., młoda kobieta, która wraz z mężem i potomstwem zbyt długo wczekiwała na mieszkanie w normalnym trybie, ale w końcu też zmiekała i poszukiwała pośrednictwa, by dać 20.000 zł w celu przyspieszenia, zorientowała się, że dała tę kwotę w listopadzie 1981 roku, tymczasem nadeszła wiosna 1982 r. i nie było jej na liście. Bo pośrednicy i decydenci w PSM nie mieli już tam nie do powiedzenia — zmienili miejsca pracy.

Zeznająca w charakterze świadka Maria K., dziesięć lat oczekująca na mieszkanie — ta, która postanowiła przerwać ogniwo płatnej protekcji przy przydzielaniu mieszkań, natknęła się wcześniej w czasie próby odebrania swoich pieniędzy od wiosny 1982 r. do jesieni na „udawanie Greka”: jedna z głównych oskarżonych — Jadwiga K., pełniąca w latach 1979—1981 odpowiedzialność obowiązkową kierowniczką działu członkowsko-mieszkaniowego PSM „o niczym nie wiedziała”, była kierowniczką Wydziału Spraw Lokalowych UM, a w trakcie zgłoszenia sprawy do organów MO już pracownica Urzędu Wojewódzkiego, Grażyna F., odraczała sprawę, godziła się zwrócić część „niech część straty poniesie starająca się o przyspieszenie Maria K.”. Maria K. nie poszła na taką ugodę.

Organy MO już wcześniej zaczęły porządkować sygnały obciążające byłą kierowniczkę Wydziału Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego, a

## NICI WIDĘ DO PIOTRKOWSKIEJ SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ...

Ile statystyczny członek spółdzielni mieszkaniowej w Piotrkowie oczekuje na mieszkanie? Dziesięć, dziesięć, bywa i więcej lat. A jeżeli trzy? To w czepku urodzony! — wykrzyknął zainteresowany i osobiście mieszkaniem nie zainteresowany, co nie znaczy, że nie zainteresowani sprawiedliwym przydziałem wszelkich dóbr, w tym i mieszkań. A jeżeli trzy miesiące?

Piotrkowski proces wykazał, że właśnie w Piotrkowie Trybunałskim padł taki rekord! Sympatyczny, młody brunet, kawaler, stający przed sądem jako jeden z pierwszych świadków (oskarżenia? obrony? — no, próbował być

## JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

# To będzie kosztować...

świadkiem obrony) Stefan O. wystartował do spółdzielczego mieszkania w końcu grudnia 1979 roku, a w marcu 1980 był już jego posiadaczem!

Nie wiadomo, co bardziej pomogło: pieniądze czy osobisty urok, bo sprawę wzięła w swoje ręce kobieta równie młoda, starszy inspektor ds. społecznych i szkolenia w PSM — Mirosława Cz., dziś jedna z współoskarżonych. Przed sądem, teraz po z górą trzech latach, choć drogi Stefana O. i Mirosławy Cz. się podobno rozeszły (to nie nasza sprawa), mężczyzna bierze sprawę na siebie: on powiedział, że za przyspieszenie może dać 50.000 złotych i tyle z własnej inicjatywy wręczył Mirosławie Cz. Ta poprosiła o załatwienie tej sprawy Jadwigę K. i po wpłacie na M-3 kwoty 30.000 zł, dołożyła solidarną cegiełkę także już tu wymieniana kierowniczką Wydziału Spraw Lokalowych UM — Grażyna F. Stefan O. otrzymał przydział z puli prezydenta miasta. To Grażyna F. miała pobrać „za pomoc” 30.000 zł. 20.000 zł było pożyczką udzieloną Mirosławie Cz., mieszkającej już ze Stefanem O., ale szykującej się, by odwiedzić rodzinę we Francji. Po powrocie Mirosława Cz. oddała Stefanowi O. 500 franków. Ten w sposób zabroniony przez ustawę karno-skarbową wprowadził dewizy do obrotu.

Wysoki Sąd pyta: — Jak się świadek czuje jako mężczyzna, zeznając teraz w tej sprawie? Świadek powiada, że „jest mi bardzo przykro, iż naraził na przykrość tyle osób”. A na pytanie: czy jest gotów wyprowadzić się z tak zdobytego mieszkania powiada, że jest „ono już... mieszkaniem własnościowym”.

Pieniądże... pieniądze... I hasło wywoławcze „TO BĘDZIE KOSZTOWAĆ!” Głośno wypowiadają to hasło przed sądem ludzie oskarżający sprawców sytuacji, jaka panowała jeszcze do niedawna w PSM, a też w miejskim kwaterunku. Inni, jak np. kilka razy konfrontowana świadek Barbara Cz., „bezzainteresownie świadczą pomoc”. A, że z kwoty 20.000 zł pięć tysięcy zostało u niej? Bo „miała je przekazać po ostatecznym załatwieniu”. Barbara Cz. pełniła — jej zdaniem — chwalebny funkcję egzekutora tych załatwień...

Jadwiga K., lat 38 (przed Wysokim Sądem, niestety, nie ukrywa się wieku płci pięknej), wspomniana już i wielokrotnie też w czasie procesu, owa szefowa neprawidłowego działu członkowsko-mieszkaniowego Piotrkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, stoi pod zarzutem przyjęcia w postaci łapówek kwoty ok. 260.000 zł oraz 20 dolarów USA w zamian za przyspieszenie przydziału mieszkań, cedowanie wiktów mieszkaniowych, ułatwianie zamian lokali i przydziału zwiększonego metrażu. W chwili aresztowania była zastępcą kierownika Cechu Rzemiosł Różnych. Czy skorzystała aż z takiej kwoty? A może: czy tylko z takiej kwoty?

Oto scena z sali rozpraw podkreślająca ten znak zapytania. Tu stawiany na korytarz oskarżony, zeznaje Wiesława S., współoskarżona, zatrudniona w PSM przed aresztowaniem w charakterze specjalisty do spraw pracowniczych.

Maria W. zamieszkiwała wraz z matką i bratem w mieszkaniu kwaterunkowym. Na przełomie 1979 i 1980 r. sąsiedzi zajmujący przyległy pokój wyprowadzili się do domu jednorodzinnego. Skorzystała z tego Maria W. i została zameldowana we wspomnianym pokoju-mieszkanie. Ale Maria W. nie wiedziała jak załatwić formalności, by prawnie pozyskać wspomniany pokój. Z poradą poproszyła Wiesławę S., skontaktowała się z Jadwigą K., a Jadwiga K. z koleżanką — ówczesną kierowniczką miejskiego kwaterunku Grażyną F., prosząc ją o wystawienie przydziału kwaterunkowego dla Marii W. Jak wyglądało wedle zeznających przed sądem sfinalizowanie „przysługi”?

Na wiosnę 1980 r. Maria W. udała się z matką do PSM i na korytarzu wręczyła Wiesławie S. kopertę z zawartością 20.000 zł. A ta — twierdzi z całą stanowczością — natychmiast weszła do pokoju kierowniczką Jadwigą K., przekazując jej całą zawartość koperty, tylko zwinętej. Oczywiście, nie miała czasu czegokolwiek z koperty wyjmować (odpowiada Wiesława S. na pytanie swego obrońcy). Co na to Jadwiga K.? Naprawdę otrzymała tylko dwa tysiące złotych? Wiesława S. miała jej przy tym oświadczyć: „kup sobie za to jakąś wódkę!”

Czy rzeczywiście Wiesława S., wedle świadka Marii W., „nagrywająca” całą sprawę od początku, była bezinteresowna, czy wyjęła dla siebie kwotę 18.000 zł, Jadwigę K. dając owe dwa tysiące „na jakąś wódkę”? Tego faktu nie można do końca ustalić. To sprawa wiary:

wobec Jadwigi K., bądź wobec Wiesławy S. Która jednak wzięła. Bądź obie wzięły wedle podziału określonego wersją Jadwigi K....

To będzie kosztować... Spośród wielu — kolejna sprawa.

W roku 1980 Janina R. podjęła starania o przyspieszenie przydziału mieszkania. Otrzymała jednak z PSM odpowiedź odmowną. Ale na wiosnę przyszłego roku jej krewna, kierowniczka kadr w jednej z piotrkowskich fabryk, inżynier technologi drzewna z wykształcenia, korzystając z znajomości podjęła się pośrednictwa, wiele lat bowiem znała Elżbietę M., również zasiadającą dziś na ławie oskarżonych, długoletnią pracownicę Piotrkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. „Będzie kosztować”. Zainteresowana mieszkaniem Janina R. przekazała więc krewnie, owej szefowej kadr dużej fabryki, kwotę 25.000 zł.

I znowu finalizującą sprawę miała być tylekroć wspomniana Jadwiga K. Mówi się o przekazaniu jej kwoty 20.000 zł i że „była sprawiedliwa”, bo 10.000 zł dała pośredniczącej, Elżbiecie M. W sierpniu 1981 roku Janina R. miała

## KOLEJNY DZBANEK, KTÓREMU URWAŁO SIĘ UCHO...

Jedni mają znakomitą pamięć, inni wręcz złą. Albo pamiętają np., że „otrzymałam wódkę i siedem gerberów” (z zeznań oskarżonej, Barbary W., pośredniczki, prowadzącej prywatnie wytwórnię wód gazowanych), ale ile pieniędzy — tego nie pamięta. A mówi się o okragłej sumie 40.000 zł! Inni „nie pamiętają”: dawali przed załatwieniem, czy już po, raczej po, „w dowód sympatii i wdzięczności”. Świadek Stanisław B., kolega z lat młodszych oskarżonego Andrzeja Z., lat 57, z wykształcenia agrotechnika, kierownika działu organizacyjno-samorządowego PSM i w latach 1976—82 pełnomocnika Biura Handlu Zagranicznego „Locum” w Warszawie na woj. piotrkowskie, świadek, który po latach postanowił wrócić do Piotrkowa, wręczył koleżce po tym, jak ten załatwił mu pierwsze piętrowe mieszkanie 100 dolarów.

— Jak zareagował Andrzej Z.? — pyta sąd.  
— Był zaskoczony.  
— Lecz przyjął?  
— Tak, przyjął.

A jednak mieszkanie otrzymał świadek Stanisław B. także w stosunkowo krótkim czasie. Jego córka również...

Świadek Maria S. — jeden ze świadków „wygarnających” co myśli o sprawiedliwości w przydziałach mieszkań w Piotrkowie. Napisała o tym dwukrotnie do Rady Państwa — w 1981 i w 1982 roku. Mieszkania otrzymywali już ci mający numery ewidencyjne ok. 15.000, gdy jej synowa posiadała numer 6.800 któryś i gnieździł się na 27 m. kw. w pięciopiętrowej rodzinie. Anna M. otrzymała mieszkanie spółdzielcze, mając dom na podpiotrkowskiej wsi. Były mąż Jadwigi K., oskarżonej, otrzymał także mieszkanie w trybie przyspieszonym...

Młoda pani mecenas asystująca obronie b. prezesa Woj. Spółdzielni Mieszkaniowej, oskarżonego Stefana B., nie lubi uogólnień.

— Czy świadek zna jeszcze jakieś inne przykłady potwierdzające balagan w PSM, mający sprzyjać atmosferze łapownictwa i protekcji? Bo tak, jest to powtarzanie opowiadań zasłyszanych w mieście...

Sąd uchyla pytanie. Świadek nie jest organem dochodzeniowo-śledczym. Zna kilka przykładów płatnej protekcji i przykłady długich oczekiwań, m. in. własnej rodziny. Starczy.

Skożo już o uogólnianiu mowa. Owszem, piotrkowanie uogólniają. Także niesprawiedliwość. Bo np. dlaczego nie mówić, otwarcie, iż pewne przyspieszenia są konieczne? Osiem lat temu Piotrków stał się siedzibą nowego województwa. Część niezbędnej kadry trzeba było ściągnąć, więc dać mieszkania. Każda władza wszędzie ma takie uprawnienia. To generalnie. Ale można dyskutować w jednostkowych przypadkach.

W przedstawianej sprawie kwestionowane są przypadki przyspieszeń, zamian, pójścia na rękę: i piętro miast VI, ludziom wcale nie z kręgu władzy. Jeśli sporadycznie dotychczas „telefonicznego nacisku”: przyspieszcie X-owcy, jest to sprawa z kategorii moralnych, powiedzmy, dla Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Postawmy jednak pytanie nagie, szczerze: czy władza, jakis jej przedstawiciel zalecał załatwić przyspieszenie i wziąć łapówkę?

Ludzie, którzy zasiadają dziś na ławie oskarżonych brali łapówki. W momentach i dobrach konsumpcji. Szczególnie w alkoholach, spośród których „Jarzebiak” i „Klubowa” należały do ostatnich. Komiaki, jak „Napoleon”, „Camus”, „Martel” — te się powtarzają. I „Pilsca”, „Słoneczny Brzeg”, „Grandial”, „Courvoisier”...

## „KUP SOBIE JAKĄS WÓDKĘ...”

Znaki czasu? Piętno równouprawnienia? Jeszcze niedawno wiedzieliśmy, że w kobiecym modelu konsumpcji mieszczą się: modne ciuchy, rajstopy, stodoły. Tu mówi się o picciu ko-

biety w biurze, w restauracji „w związku ze sprawą”...

Ale nie przesadzajmy z damskimi ciętami do trunków. Niektóre panie w PSM „tylko nie były gorsze od panów”. Te szczególnie skumulowaną słabość do alkoholu przypisuje się prezesowi Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej — Stefanowi B., lat 48, bezdzietnemu, zarabiającemu 29.440 zł (żona pracująca). Przypisuje się mu także przyjmowanie korzyści w postaci złotych i dolarów. W jego sprawie, jak w sprawach pozostałych oskarżonych, tylko kompetencją Wysokiego Sądu jest rozstrzygnąć, jak było w rzeczywistości. Świadczenie mówią swoje (bronią i obciążają). Piotrkowianie także mówią co wiedzą, co obraża niektórych obrońców byłego prezesa WSM: „robi się pokazówkę, wybiorzmy!”

Piotrków nie Warszawa czy Paryż. Ludzie tu widzą ludzi na co dzień. Zwłaszcza kiedy dotyczy to „świecznika”, bądź tych, którzy jak Stefan B. przed laty należeli do wąskiego grona decydentów. Posłuchajcie co mówią w środowiskach robotniczych. Hutnik „Hortensji”, odlewnik z „Piomy”, czy prządka z „Sigmatexu” — oni wiedzą, iż ich zadaniem to osiem godzin sumiennie pracować. Stefan B. jest z tych, którzy preferowali model „mieć” oraz „pracy na okragło”, albo może ściślej — „luzu na okragło”. W tym modelu wcale nierządno swoje sprawy załatwia się z a w s z e. Też przed południem za dyrektorsko-prezesowskim biurkiem. A znowu niby — zawodowe np. w reprezentacyjnym motelu „Polichno”.

## POUCZAJĄCE I ZARAZEM BUDZĄCE PRZESTRACH:

jak daleka niektórzy zatrudni poczucie elementarnej przyzwoitości! Sprawa starań o mieszkanie szefa kuchni motelu „Polichno” — Zdzisława A. Nie dość, że kilkoma autymi libracjami miał się Zdzisław A. odwzajemnić za załatwienie mieszkania w 1978 roku (w czasie jednego „najązdu” prezesa B., szef kuchni przysnął, by nie pokrywać rachunku, to jeszcze za M-4 płacił dwukrotnie po 46.000 zł, zamiast raz! Drugi raz wpłacił Zdzisław A. tę kwotę w WSM, gdy się okazało, że pierwszy przekaz w tej samej wysokości w Polichno (w czasie pierwszej bytności prezesa B. i jego towarzyszy) był... łapówką. Uczestnicząca w przyjęciu Jadwiga K. ujrzała w reku prezesa ok. 50.000 zł i usłyszała, że to jeszcze jest do przepicia...!

Trunki miał prezesowi przekazywać Andrzej Z. Przekazywali „wdzięczni” zdobywcy mieszkań. Pracownica PSM, wspomniana tu już w związku z mieszkaniem Stefana O. (owe franki!) Mirosława Cz. w 1981 roku starała się o mieszkanie. Zwróciła się więc do szefa, Stefana B., który przyrzekł jej pomoc. Od tego czasu — jak zeznała Mirosława Cz. — przez kilkakrotnie zwracała się do niej, by zakupiła alkohol „na konto” przyszłego mieszkania. Mimo trudnych warunków finansowych, dziecka na utrzymaniu, Mirosława Cz. kupowała wódkę. Przysłała, że „piłi wspólnie, z jeszcze inną pracownicą M. K. Np. na Wielkanoc 1982...”

Pytanie retoryczne, a to w związku z picciem alkoholu w Piotrkowskiej Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej: czy nie szefostwo ugrunowało ten „styl”? Nadabó „ton”? Taką atmosferę i ten ped do alkoholu stworzył wśród mających wpływ na przydziały mieszkań warunki sprzyjające, by brnąć. Zdecydowana większość ludzi zatrudnionych w spółdzielczości mieszkaniowej Piotrkowa, dzisiejsi pracownicy Wydziału Spraw Lokalowych UM, to ludzie rzetelni i zbulwersowani wieściami, które okazały się, niestety, prawdą. Mogą, muszą sobie oni powiedzieć: byli wśród nas moralnie stabi i za tę słabość płacą już teraz ławą oskarżonych.

A w 1982 roku Inspektorat Lustracji w Łodzi CZSM przeprowadził w Piotrkowie, w tu-tejszej PSM lustrację poprawności przydziału mieszkań w latach 1975—79, a i w zakresie prawidłowości stosowania zasad sprzedaży mieszkań przez BHZ „Locum”. W „Locum” w latach 1978—82 nieprawidłowości występowały w 22 proc., czyli dotyczyły średnio co piątego przydziału, w Spółdzielni im. Słowackiego było o wiele gorzej.

Nie rozliczono członków, którzy otrzymali nowe mieszkania: co z mieszkańiami poprzednimi? Przydzielano mieszkania większe niż wynikało z posiadanych uprawnień. Dokonywano zamian bez istotnych przyczyn, bądź też wymanego okresu oczekiwania. Tworzono dodatkowe listy przyspieszeń już po formalnym przydziale, więc jakże opinia publiczna mogła nie piętrzyć jeszcze zarzutów? Nie sprawdzano warunków mieszkaniowych osób z list przyspieszeń. Nie więc dziwnego, że mogło dojść do przypadków ustalonych np. przez Miejską Radę PRON, kiedy to przydzielono mieszkania „biedakom” z rzekomych wyburzeń, gdy „wyburzony dom” był blokiem mieszkaniowym wzniesionym kilka, bądź kilkanaście lat temu.

Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej w Częstochowie m. in. ustalił, iż w Piotrkowie zdarzały się przypadki przydziału mieszkań osobom, które (uwaga!) nie były członkami spółdzielni, wpisane zostały na listę dopiero po zasiedleniu! Wpisywano na listy przydziałów osoby niepełnoletnie. Chyba starczy.

Oskarżenia... oskarżone... W większości kobiety. Do tego młode, mające na utrzymaniu nietlenne dzieci. Reporter, publicysta, nie Wysoki Sąd, ma prawo wyrazić żal. Bo naprawdę żal zasiadających na ławie oskarżonych. Często wyraźnie niekompetentnych, „zielonych” fachowo i organizacyjnie, a też społeczno-prawnie. Że jednak rece „do siebie”? Prawda, pełnoletni za siebie odpowiadają. Lecz i za pełnoletnich odpowiadają przelotnie. Pod warunkiem, że są to właściwi ludzie w właściwych miejscach.

Jak było w tej sprawie? Czytelniczki nie dzieci przedszkolne: sami to widzą. I dlatego tamto tajne hasło tego i owego obowiązujące w piotrkowskiej spółdzielczości mieszkaniowej „to będzie kosztować”, okazało się tak złowrobie aktualne.

**K**ról na czele świetnego orszaku panów polskich zatrzymał się w galerii zamkowej. Specjalny wysłannik cesarski, hrabia Waldstein, i nuncjusz papieski Pallavicini podeszli do monarchy. Hrabia padł na kolana. — Najjaśniejszy Panie, ratuj Wiedeń!

Splywający z ramion rakuskiego arystokraty czarny, atlasowy płaszcz układał się dekoracyjnie na tle kardynalskiej purpury... — Ratuj chrześcijaństwo, Królu! — kardynał skierował uwagę katolickiego władcy na cel niezłomny i ponadczasowy.

— Wojska księcia Lotaryńskiego rozbito w bitwie pod Petronell — hłobową wiadomość obwieszczał wysłannik cesarski. — Trzysta tysięcy pogan wkroczyło w posiadłości cesarskie — zbrojalnym głosem przedstawiał Waldstein grozę sytuacji. — Dwaście tysięcy pędzących namiotów, sto trzydzieści tysięcy muzułmanów otoczyło Wiedeń. Sto siedemdziesiąt armat bombarduje mury stołeczne.

— Ich cesarskie moście, cesarz Leopold i cesarzowa, opuścili Wiedeń — pośpiesznie oświadczył nuncjusz.

— Jabo Atylla, bicz noży, jako Dżengis-chan idzie Kara Mustafa — zbieleńcami ustami ostrzegał hrabia Waldstein. — Szarańcza.

— Nasz wódz naczelny książę Karol Lotaryński w liście zaklinał Waszą Królewską Wysokość pisząc: „Je priele Roi de nous secourir. Votre presence seul vaut une armée.”

— Wiara katolicka zagrożona. W tobie jednym, o salwatorze chrześcijaństwa, nadzieja ratunku! — wzniosłymi słowy komplementował króla polskiego nuncjusz.

— Wstańcie, panie hrabio.

Hrabia podniósł się z klęczek.

— Pectus nostrum Christianam valuti in victimam obiectimus — uroczystym tonem odpowiedział król księciu Kościół. — W oczach naszych Wiedeń ma takie znaczenie i taką wagę, że cenilibyśmy go ponad Kraków, Lwów i Warszawę. Wszystkie chwile dnia i nocy oddamy tej sprawie, aby z pomocą boską poratować zagrożone chrześcijaństwo.

Skonsternowani spojrzeli po sobie towarzyszący królowi dostojnicy. Hetman polny Sieniawski poruszył brwiami. Sroga uraza wykrzywiła twarz ponurego starca Grzymułtowskiego. — Królu — zachnął się wojewoda. — Azaliż cesarstwo bliższe ci nad Rzeczpospolitą?

Oczy króla rozjarzyły się gniewem, oddalił się od wysłannika cesarskiego i nuncjusza. Podążył energicznie w kierunku komnat. Gniewny rytm wybijały królewskie kroki na kafelkach kamiennej posadzki.

— Lubo Wiedeń zginie, lubo się obroni, wszystko nam będzie nie na rękę! — replikował ostro król. Obrzmiała szyć i policzki pociemniały od napływającej krwi. — Lepiej na cudzej ziemi, o cudzym chlebie, w asystencji wszystkich sił cesarstwa wojować, aniżeli samym się bronić o swym chlebie, i kiedy nas jeszcze przyjaciele odstąpią, żeśmy im prędkiego sukursu nie dali.

Nie czekając na zaciąg litewski, ani na Kozaków wyruszył król Jan z wojskiem osiemnastego lipca z Wilanowa wraz z Marią Kazimierą i szesnastoletnim królewiczem Jakubem do Krakowa. Pomimo pośpiechu koncentracja sił przeciągnęła się ponad dwa tygodnie. Kurierzy od cesarza i księcia Lotaryńskiego przywołili bez przerwy naglące prośby i alarmujące doniesienia z Wiednia: Spieszcie się, bo giniecie! (...)

Sobieski dokonał przeglądu i prezentacji swej armii wobec przybyłych wodzów i książąt cudzoziemskich.

Szło trzydzieści jeden chorągwi husarskich i pancernych po dwustu dziesięciu jeźdźców w każdej. Spód skór lamparcich, niedźwiedziej i rysich przebyskiwały kosztowne zbroje rycerskie. Sterczące wysoko skrzydła zaramienne trzepotały jak pierzaste roje ptactwa. Las włóczni posuwał się z majestatyczną grozą. Gdyby niebo miało runąć na ziemię — mówiono dumnie w chorągwiach husarskich — powstrzymamy je naszymi włóczniami!

Ziemia zdawała się stękać pod kopytami wierzchowców dzwignających rycerzy w zbrojach, w pełnym rynsztunku orężnym włóczni, koncerzy, rapierów i młotów do rozłupywania hełmów i pancerny nieprzyjacielskich.

Ale już pocztowi — bez skrzydeł i włóczni — byli odziani licho i odróżniali się od skrzydlatych rycerzy marnym wyglądem.

Za husarią jechały zakute w żelazo szeregi chorągwi pancernych. W miseczkowych szyszakach z kołcami i w miszurkach z żelaznych kółek okrywających jak czepce karki, skronie i ramiona, w giętych kolczugach chroniących niby druciane koszule pierś i plecy, zbrojni w dzidy, szable, pistolety i w tarczach-kałkanach z gałązek figowych okrywanych jedwabiem posuwali się jeźdźcy pancerni na koniach, podobni do spizwanych posągów.

Dalej szło sześć tysięcy dragonów pod dowództwem hrabiego de Maligny, brata królowej. Konna piechota była wyposażona w rusznice, szable i krótkie berdyse, broń sleszno-klującą pomyślaną i wprowadzoną przez króla-wojownika Jana III.

Zaraz za nimi podążały lekkie chorągwie wołoskie i tatarskie, złożone z jeźdźców uzbrojonych w łuki, oszczepy, króciące, obuchy i krzywe szable tatarskie.

Za jazdą, niby tłum obdartusów, maszerowały dzielnie najeżone szczytami muszkietów i halabard regimenty piechoty królewskiej i dworskiej w wypłowiałych i cerowanych koletach i katanach. Król doznał lekkiego uczucia wstydu za swą zaniedbaną infanterię — Messieurs observez, je vous prie, cette troupe.<sup>1)</sup>

— Wobec cudzoziemskich książąt i generalów ukrogi pod dowcipnym kłamstwem swój wstyd i zmieszanie. — On n'y recoit jamais un soldat, qu'en faisant veut et serment entre les mains des officiers qu'il ne portera tant qu'il sera dans le service, d'autre habits que ceux des ennemis après leur avoir oté la vie.<sup>2)</sup>

Tegoż dnia, trzeciego września, odbyła się narada wojenna dowódców armii sprzymierzonych na zamku w Stettelsdorf, posiadłości sędziwego hrabiego Hardegga, niegdyś koniuszego Wallensteina.

W narodzie, oprócz króla polskiego, brał udział hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski, hetman polny koronny Hieronim Sieniawski, generał artylerii Marcin Kątski, szwagier królewski hrabia de Maligny, oboźni Marcin Chelmski i Jan Charzewski, strażnik wielki koronny Zbrożek i wiele znakomitego rycerstwa polskiego, dowódców chorągwi i pułkowników.

Z dowódców niemieckich zasiadli u boku generalissimusa księcia Karola Lotaryńskiego, książę saski elektor Jan Jerzy III, młody elektor bawarski Maksymilian Emanuel, książę sasko-lauenburski książę Salm, margrabia Herman Badeński, książę Waldeck oraz generalowie austriaccy Caprara, Leslie, Rabatta, Gondola wraz z saskim generałem von Goltzem.

Rada wojenna zebrała się w sali rycerskiej. Stare średnio-wieczne zamczysko rozsypany było i kruszyło. Sklepienia były poroszone. Na odrapanych i brudnych ścianach wisiały szeregi ogromnych portretów. Z pociemniałych czarno-złoty obrazów spoglądały surowe oblicza antenatów pana zamku. Kilka zarzewiałych zbroi z przyłbicami, parę włóczni i tarcz z czasów wojen krzyżowych pogłębiały ponury nastrój miejsca obrad.



## Lew Lechistanu

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Płonące w kominie polana nie mogły rozświetlić ani ogrzać zimnej sali. Czerwony blask ognia pełzał po kafelkach kamiennej podłogi u progu pieca. Służba wносиła świece w lichtarzach.

Świetne ubiory i kosztowna broń panów polskich zgromadzonych po jednej stronie stołu tworzyły barwną plamę na mrocznym tle. Na czele rycerstwa jaśniał obrzymi król Jan w żupanie ze złotogłowiu i jedwabnym karmazynowym kontuszu. Usiany beczennymi kamieniami obuszek dzierzył przed sobą jak berło.

Jeden tylko osobnik w strojnej świetle królewskiej wyróżniał się surowością czarnego ubioru. Postać ta stała za królem jak cień. Był to książdz jezuita, ojciec Vota, towarzyszący chrześcijańskiemu władcy w wyprawie na pogan.

Po drugiej stronie, wśród Niemców i rakuszan, przeważały skromne ubiory, zielone i żelonoższare. Gdzieniedzie tylko błysnął obszyty galonem biały kaftan lub pasowa szarfa ze złotymi frędzlami. Za generalicją stał ascetyczny mnich, bogobojny braciśzek Marek d'Aviano.

Obie strony, przedzielone długim stołem, mierzyły się wzrokiem, jak gdyby ocenając wzajemnie swe siły. Od czasu stynnego wjazdu Jerzego Ossolińskiego z poselstwem do Rzymu żadna nacja nie potrafiła prześcignąć fantazji szlachty polskiej w ubiorze, w brylantowych guzach, w kosztownej broni, w szerokim rozrzuconym geście. Zabarwiona lekka pogarda pańskość, pycha i buta szlachty, która przy każdej okazji umiała szablą wyrębać sobie przewagę, usposabiała książąt i generalicję podejrzliwie względem buńczucznych Sarmatów.

Zagał obrady książę Jan Jerzy III. Mały i otyły, w munderze przepasanym pasową szarfą, przypominając grubego karczmarza saskiego w przebraniu. Staroniemiecki zwyczajem nosił broń sięgającą do pasa. Nie znając francuskiego ani łaciny, mówił po niemiecku. Prymka tytoniu, którą wkładał za policzek i żuł, utrudniała zrozumienie jego słów. Ale niebawem sens przemówienia jego książęcej mości stał się dla Polaków jasny. Elektor wysuwał obiekcje przeciwko powierzeniu dowództwa całej armii chrześcijańskiej jednej osobie.

Odeły się twarze Sarmatów. Gorąca fala gniewu oblała królewskie oblicze. Pofałowowało się monarsze czoło.

Trzasnął szablą hetman wielki koronny Jabłonowski. — Czym dobrze pojał? — zaczął mówić szybko po łacinie. — Ktoś tu chce się ponad króla polskiego wywyższać.

— Nein! Nein! — padły trwożliwe zaprzeczenia z tamtej strony stołu. — O mein Gott!

Lecz zapalczywi Sarmaci zaczęli już fukać i trzaskać karabelami, gotowi posiekać tych tam rakuskich generalów i książątka, które nie wiadomo jakim srokiem spod ogonów powypadały.

— Ano, jeżeli nas tutaj tak gościnnie przyjmują i majestat postępują, to nic tu po nas — wyniośle oświadczył hetman Sieniawski.

Żyła napęczniała mu w poprzek czoła. — Będziem zabierać się do domu i trąbić na odwrót wojska polskiego.

Sobieski błysnął zrenicami i już dzwignął potężne cielsko do wstania, sobiepan z polskim gestem, gotów w imię zagrożonej własnej racji pogrzebać wszystko.

— Na Boga, sire! — austriacki generał Caprara z obwisłą wargą, z przerażeniem w oczach porwał się z fotela. — Na Boga, panowie rada! Przewidziano wszak w układzie między obu państwami, że ten z panujących obejmie dowództwo naczelne, który znajdować się będzie na polu walki! — Generał wyjął z zanadru papier, wyciągnął rękę z papierem nad stołem. — Oto list cesarski! Monarcha prosi w nim najjaśniejszego pana króla polskiego, żeby zechciał osobiście stanąć na czele naszych wojsk.

Wstał zza stołu generalissimus wojsk cesarskich książę Lotaryński. Twarz pociągła, zeszpecona śladami po ospie, nos orli. Na szarym podniszczonym mundurze sukiennym blask pozłaczonych guzików.

— Zaszczę to dla każdego z nas walczyć u boku wodza — generalissimus pochylł głowę na znak niezmierniej czci — który

zwykłym nad Turkami pod Chocimiem okrył nieśmiertelnym laurem swe czoło.

— I jak niegdyś pod Lepanto — z kaznodziejską intonacją podchwycił gorąco bogobojny braciśzek Marek d'Aviano zza pleców generalów cesarskich — przybył na ocalenie chrześcijaństwa człowiek zesłany od Boga, imieniem Jan.

Natenczas otworzyły się upusty wylewnych uczuć panów niemieckich zaniepokojonych, że polski sprzymierzeniec może zostawić ich twarzą w twarz z potęgą ottomańską.

— Ah, unser brave Koenig! — wołali książęta i hrabiowie. Sobieski głaszał wesa. Z dumą prostowali się polscy panowie.

Po tym incydencie przystąpiono do obrad. Głos zabrał książę Waldeck. Trefione kędzierzawe włosy okalały oblicze blade i gnuśne. — Niebezpiecznie jest dążyć do walnej batalii. — Ostrożny dowódca oddziałów szwabsko-frankońskich wysunął projekt zastosowania taktyki defensywnej. — Należy okrążyć obóz turecki pierścieniem naszych wojsk i zatamować dowóz żywności. Nieprzyjaciel będzie musiał odstąpić od Wiednia, żeby nie zginąć z głodu.

— O ja, ja! — zaszargotali Niemcy. Bardzo im się ta kunktatorska taktyka podobała. Peruki z uznaniem kiwały na znak zgody, trzęsły się z góry na dół.

— Bodaż was zabito! — z cicha zaklął krewki generał Kątski.

Dowódcy polscy szemrali niezadowoleni.

— Panowie rada — z hamowanym uniesieniem odezwał się porywczy hetman Sieniawski. — Z woli bożej snadź zasłepienie jakoweś na muzułmanów spadło, że bez żadnych przeszkód wojskom naszym posuwać się i koncentrować dozwalają. — Brzęk ostrogi pod stołem towarzyszył gniewnym solowom hetmana. — Trzeba to wykorzystać i to zaraz, mości panowie. Trzeba uderzyć na pohaciów ze wszystkimi naszymi siłami, jazdą i piechotą, i rozbić w proch, póki się nie opamiętają i po rozum do głowy nie pojdą.

Peruki zatrzęsły się jak na komendę w lewo, w prawo. — Nein! Nein!

Wywiał się chaotyczny dyskurs między reprezentantami odmiennych poglądów. Wzmagal się gwar.

Młody, dwudziestoczteroletni elektor bawarski Maksymilian Emanuel podeszedł do szwagra królewskiego, hrabiego de Maligny. — Wasz hetman jest wspaniały, pełen energii i żywotności, ale daje się za bardzo unosić uczuciu — wyłożonym szepem mówił po francusku. — Więcej rozważ, panowie!

— Do diabła z rozważą — parsknął hrabia.

— Polacy znani są z tego, że doraźny optymizm bierze u nich górę nad rzeczową trzeźwością — przyjaźnie utrzymywał intymny elektor bawarski.

— Za to ich lubię — replikował ze swadą szwagier królewski. — Ja też kpię sobie z rzeczowej trzeźwości.

— A pobudliwość uczuciowa przeważa u nich nad intelektem — uśmiechając się życzliwie dworował sobie z Polaków Maksymilian Emanuel.

— Każ się wypchać, mości elektorze! — po polsku wypalił kawaler de Maligny i zaśmiał się swemu rozmówcy w nos.

— Comprends pas! — zmartwił się Bawarczyk.

— Nie szkodzi!

Po co się rzucać w ryzyko niepewnej bitwy — brutalnie zagrzniął sangwiczny generał saski von Goltz. Ogromny waszcz przypytował nogą dla dodania swoim słowom powagi dzwoniąc ostrogami jak Sieniawski. — Po co na darmo krew chrześcijańską przelewać, jeżeli można wziąć nieprzyjaciela głodem?

Hetman wielki koronny painał się ręką w kolano. — Boją się Turków, takie syny — szepnął królowi do ucha. — Widok łada turbana ich przestrasza. Słyszałem, jak w ich obozie wrzasnął ktoś „Allah” i wszyscy w nogi na złamanie karku, a panowie oficjerowie pierwsi.

Pod wąsami Sobieskiego czał się uśmiech. Król zastukał obuszkami w stół. — „Na darmo krew chrześcijańską przelewać”, powiadacie mości panowie. Azaliż nie w obronie wiary katolickiej świętej? Azaliż nie dla sławy? Optimum est memorabilem mori aliquid opere virtutis<sup>3)</sup> — sławę kochający nade wszystko spozierał pytająco na jegomościów w perukach.

Ekscelencje i generalowie niemieccy milczeli. Wstał książę Lotaryński. — Oto nauka dla nas! — pięścią oparł się o stół. — Nie na wywczas tutaj przyszliśmy, tylko po to, mości panowie, żeby Turka bić.

W zapadłej ciszy słycać było trzaskanie polan sosnowych w kominie. Za oknem rozległ się tętent. Paru jeźdźców osadziło wierzchowce przy wejściu do sieni zamkowej. Do sali wkroczył dumnie możny pan w przemocznym płaszczu, który zaczęł mi się o ostrogi. Piórami kapelusza zamiótł podłogę.

— A cóż to za spectrum? — szepnął hetman Jabłonowski.

— Graf Caraffa, poseł cesarski — przedstawił książę Karol Lotaryński przybyśza.

Zebrani oczekiwali w milczeniu na słowa wysłannika cesarskiego.

Graf przemówił ostro i gniewnie, jakby groził panom zebrany na radzie wojennej.

— Cesarz wzywa — zwracając się do Sobieskiego jeszcze raz machnął kapeluszem — aby król polski raczył pośpieszyć, jeżeli na sromotne grzy Wiednia patrzeć nie chce.

— Oto macie argument, mości panowie! — patrząc na Niemców Sobieski wskazał ręką grafa.

Dzwieknęła szabla na posadzce. Płomyki skwierczących świec pochylili się pod podmuchem przeciągów wiejących z różnych stron.

Król dzwignął się z fotela. — Panowie inżynierowie niech kończą bez zwłoki most na Dunaju — stuknął obuszkami w stół. — Armia chrześcijańska przeprawi się na drugi brzeg pod Tullnem. Waszmość pana księcia Lotaryńskiego proszę o zabezpieczenie przeprawy szanłem mostowym na dwa tysiące żołnierza. Stanowiska zajmie infanteria polska i niemiecka.

Dźwięk ostróg, szcęk szabli, gwar rozmów wypełniły salę. Słycać było znów głosy podziwu w gronie książąt i generalów. — Ah, unser brave Koenig!

Zaś nocą w komnacie zamkowej król pisał do żony:

„Jedynie duszy mojej kochanie. Mnie katar dotąd nie opuszcza i ustawicznie z tyłu głowy bolenie osobliwie w nocy, lubo w kaftaniku sypiam i w pawilonie, i w ciepłe. Za czym kończyć przychodzi, bo mi dziś dziewięć mil wielkich jechać przyjdzie do mostów wiedeńskich, które stąd wielkich pięć mil, i nazad się wrócić. Zaś w imię Boże trzeba się brać ku przeprawie. Koczącą tedy całuję z duszy i serca wszystkie śliczności Wmość serca mego jedynego”.

1) Błagam Królu! Sama obecność królewska znaczy tyle, co armia. (franc.)

2) Pierś naszą za lud chrześcijański niesiemy w ofierze. (łac.)

3) Panowie, zwróćcie uwagę na ten oddział. (franc.)

4) Żołnierz, który się do niego zaciąga, składa przysięgę na ręce oficera, że w czasie służby nie będzie nosił innych szat niż szaty zabitego wroga. (franc.)

5) Najlepiej umierać upamiętniwszy się jakimś wielkim czynem. (łac.)

6) Wiedza. (łac.)

# 80 - lecie Leona Gomolickiego

## Dokończenie ze strony 1

Jak widać, okrężne drogi prowadziły Pana do prozy literackiej i wiele przemawia za tym, że był to proces narastania wewnętrznej potrzeby, nie zaś moment nagłego postanowienia, powiedziane „na wyrzut”, jak to nieraz bywa z tymi, którzy postanawiają: „Zostanę pisarzem (aktorem, piosenkarzem), bo to daje pozycję, wzbudza podziw i zazdrość, umożliwia atrakcyjne życie”. Aż doszedł pan wreszcie do czasu, gdy zaczął Pan tworzyć rzeczy dojrzałe artystycznie.

Jeśli mówimy o beletrystyce, to niezupełnie już tak z miejsca „dojrzały”. W roku 1949 Zarząd Miejski m. Łodzi ogłosił konkurs na utwór z historii ruchu robotniczego. Pierwszą nagrodę przyznano mi za powieść pt. „Lokaut”. Była to druga część trylogii na temat ruchów robotniczych w Łodzi od pierwszych pochodów 1-majowych do barykad 1905 roku. Całość trylogii w latach 1950-51 wydrukował w odcinkach „Głos Robotniczy”, a równoległe nadesła ją radio w programie łódzkim i ogólnopolskim. Pisałem specjalnie dla czytelnika robotniczego, nie troszcząc się o poziom artystyczny, ale mam satysfakcję, że znalazło to oddźwięk. Świadectwem tego był wielki wiec, zor-

## Leona Gomolickiego droga do prozy

ganizowany w Zakładach Im. Marchlewskiego, z udziałem robotników z innych zakładów, z reporterem prasowym i z radiowym mikrofonem, do którego przemawiałem z trybuny. Na tym wiecu zaproszono mnie do pracy w Zakładach, abym mógł napisać powieść o życiu i pracy robotników.

Przyjąłem tę propozycję poważnie i pracowałem w „Marchlewskiego” dwa okrągłe lata, łamiąc dotychczasowy układ życia, wyrzekłszy się wykładów na uniwersytecie. Pracując na różnych oddziałach, głównie na przedziałni cieniokoprednej o nazwie „Mako”, starałem się już jakoś usprawiedliwić swoją tam obecność. Sład dwie broszury wydane przez Książkę i Wiedzę, szopka, do której tekst napisał Sztudynger, i cykl nowel z bytu zakładowego na gorąco. Nowele drukował Kopyrowski w redagowanej przez niego „Kronice”, poprzednicze „Odgłosów”. Zebrane w książce nigdy się nie ukazały, i słusznie, bo i te próbkę nie były jeszcze dostatecznie dojrzałe artystycznie.

Właściwie sprawdziłem się jako pisarz dopiero mając 55 lat, w pierwszej mojej powieści pt. „Ucieczka”, wyróżnionej II nagrodą na ogólnopolskim konkursie, ogłoszonym w 1958 roku przez Zarząd Główny ZLP i Wydawnictwo Łódzkie. Trzeba powiedzieć, że konkurs ten był pierwszym, który otworzył tamę dla tematyki psychologicznej w polskiej literaturze powojennej. Od tej „Ucieczki” bierze początek cykl dalszych moich powieści. Jeśli pyta Pan, co to znaczy „sprawdziłem się”, odpowiem, że człowiek sprawdza się tam, gdzie jego własne wobec siebie wymagania zbiegają się z oceną innych ludzi. I staje się to bodźcem do kontynuowania pracy.

Wspomniał Pan o tematyce psychologicznej, która, istniejąc, przetrwała tamę w literaturze powojennej w połowie lat sześćdziesiątych. Ale powieści Pana zawierają szeroką panoramę życia z okresów, które Pan przeżył — od I wojny światowej po naszą rzeczywistość. Czy sądzi Pan, że literatura może być źródłem poznania rzeczywistości?

Tak sądzono w ubiegłym wieku, myślał literaturę z kroniką obyczajów. Nurtowało mnie zagadnienie inne: recepcji literatury, możliwości jej wpływu na życie przez przekazywanie doświadczeń. Jest to obsesja tego pokolenia, które przeżyło okupację. Przekazywanie okupacyjnych doświadczeń uważaliśmy poniekąd za nasz obowiązek, którym obarczyło nas samo życie. Świat nasz został zdruzgotany, człowiek, w którego wierzyliśmy, dopuścił się potwornych zbrodni wobec społeczeństwa. Ci, którzy cudem przetrwali, żeby żyć dalej musieli zrozumieć, jak mogło się stać, co się stało. Dociec przyczyn, zbadać skutki, rozmiar spustoszenia w psychice ludzkiej! I wyteńczyć wszystkie możliwe sily, użyć wszystkich środków, aby uratowanym przywrócić ideały humanizmu. Zdawało się, że chodziło o taką prostą wykładnię istniejących od wieków systemów religijnych i filozoficznych, wspartych mądrością ludową, a osnutych — już nie mówiąc o miłości — chociażby na szacunku i tolerancji w stosunkach międzyludzkich.

Al czy słowo, które było mi dane, albo które odkryłem jako budulec i tworzywo, miało dostateczną silę przekonywania? Po wielu próbach, nie mając sygnałów z zewnątrz, zacząłem domyślać się, że na przyszłość stoł to, co nazywam „progrem” w przekazywaniu innym swoich doświadczeń. Był jeszcze „próg”, oddalających się w czasie wypadków, o których wiedzę, emocjonalną wiedzę, usiłowałem przekazać. Mimo to wszystko, wciąż jeszcze wydaje mi się, że słowo użyte nie tyle jako budulec czy tworzywo, lecz niosące ładunek napięcia emocjonalnego, potrafi przedać się przez te wszystkie progi, nawiązać w pod — czy nadtekstach kontakt z ludźmi.

A czym dla Pana osobiste stało się pisanie? Czy uwalnianiem się od dręczących problemów przez sam fakt ich „nawykania”, czy drogą do poznawania samego siebie, czy jeszcze czymś innym?

To chyba najważniejsze, że dopiero pisząc uzmysławiam sobie temat i zaczynam znajdować odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Układając fabułę, nie wiem jeszcze wcale, jak ją skończyć. Nie wiem, co przydarzy się moim bohaterom, a polega to na tym, iż fikcyjne „drugie życie”, mimo iż przeze mnie powołane, zaczyna się rządzić swoimi prawami, i zyskuje tak znaczną stopień niezależności od autora, iż nie może on swoich bohaterów do niczego zmusić, przeciwnie, usiłuje dociec, jak bohater powinien postąpić, żeby działał zgodnie ze swoją osobowością, czyli był postacią prawdziwą, a nie papierową. Odtóż to małe życie jest dla mnie modelem prawdziwego życia i badanie tego modelu uzupełnia moją wiedzę o sobie i po prostu o wszystkim.

A gdyby jeszcze raz przyszło Panu obierać życiową drogę, czy chciałby Pan ponownie zostać pisarzem?

Ta droga jakby sama się przede mną otworzyła, bo ja jej właściwie nie obierałem, tylko po różnych próbach ostatecznie uznałem za konieczność zrobić to, a nie co innego.

Oby przez czas jak najdłuższy zaznał Pan pisarskich udręk i satysfakcji, a tymczasem dziękuję Panu serdecznie za udzielenie nam cennych i ważkich wypowiedzi.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

skiego, a zaraz po wojnie brak było ludzi przygotowanych w tym kierunku. Pisałem liczne eseje, prace popularnonaukowe, była też archiwalna przygoda z rosyjskim okresem biografii Mickiewicza.

## Zarówka Edisona

Wylania się ibisopodobny archiwista z zaświatów, który podaje mi na tacy moje dossier oczekujące czerwonym tuszem uwag dobrowolnych cenzorów. Uwag pełnych powikłanych nieporozumień, które potrafiłbym na poczekaniu i z łatwością rozwikłać, mimo że najsurowszym cenzorem jestem ja sam. Byłoby to zatem miejsce na wyjaśnienia, sprostowania, ale niech tym się zajmie ktoś inny, jeśli to, jak żyłem i co w życiu działo się, będzie kogoś po mnie jeszcze obchodzić. W chwili tej myśl moją zajmuje stosunek mój do śmierci, na całej przestrzeni lat i doświadczeń moich, poczynając od wieku dziecięcego.

I tu coś, co pod wpływem zbliżenia do zięcej pierwotnej nicości łączy dwie sfery — dotyku i wzroku. Palec (symbol dotyku) wskazuje oku otaczający świat poznawany na nowo.

W moim dziecięcym pokoju nad miniaturowym biurkiem powieszono na ścianie nowości tamtej epoki — lampę elektryczną z żarówką Edisona. Tamte pierwsze żarówki Edisona były konstruowane na zasadzie próżniówek. Orgelbrand opisywał to w swojej encyklopedii obrazowo:

„Z powodu blasku swego lampy łukowe doświetlenia mieszkań są zgola nieodpowiednie. Polegają one na tej zasadzie, że cienkie druty metalowe rozżarzają się pod wpływem przebiegającego przez nie prądu elektrycznego. Druty metalowe wszakże stapiają się przedko. Edison wtedy wpadł na szczęśliwy pomysł zastąpienia ich włóknkami węgłowymi. Gdyby jednak węgiel rozżarzał się na powietrzu, spłonąłby bardzo szybko, trzeba więc włóknka te umieścić w kulkach lub gruszkach szklanych, szczelnie zamkniętych i pozbawionych powietrza. Skoro przez włóknka takie przepuścimy prąd otrzymujemy światło”.

Właśnie, to, co normalnie zamieniłoby się natychmiast w popiół, żarzy się w powietrzu próżni obdłaskiem kosmicznego światła. Objawy tego zjawiska są mniej więcej następujące:

Otacza nas zastany zewnętrzny świat w świetle dnia i nocy emanujący barwami, a my ich na ogół nie zauważamy. Właściwie, raczej — pojęcia barw, niż same barwy. Wzrok odbiera praktycznie szarą płaszczyznę, ułatwiając orientację ruchu. Potrzebny jest prąd psychicznego napięcia, aby w próżni rozpaczy czy uniesienia, węglek zmysłów zaczęły się jarzyć, nasilając barwy otaczającego świata. Wtedy najwzrostlejszy szary dzień zapala intensywne kolory i może się wydać, że to same przedmioty promieniują wylaniając blask fosforu.

Wszystko to zapowiedzi ataków jasności, gdy wzrok się uczula na rozświetlającą się w oczach przyciszoną godzinę zmierzchu. Barwy gęstnieją, a jednak jeśli rozejrzeć się dobrze, coś nagle zaszło: *dokoła jakby się rozjaśniło.*

Rozjaśniło się, choć w rzeczywistości nie mogło spowodować nasilenia jasności. Przyczyny należy szukać nie na zewnątrz, lecz w Napięciu zmysłów pobudzając wzrok, uczulające siatkówkę? Z pewnością



Foto: Miroslaw Zajdel

cia, ale mimo tej świadomości trudno oprzeć się sugestii, że to wnętrza przedmiotów rozjaśnia tajemnicze źródło światła. Ukryte głęboko prześwieca przez chropowatą powierzchnię przedmiotów.

W wydrążonej dyni światła zapalono świeczkę, jak w maskaradowej latarce. Nazwijmy to inaczej: promieniowanie trzewi rzeczy. Budzi podziw i zarazem niepokój. Radosny, jakby oczekiwania czegoś, co wreszcie niespodziewanie się spełnia.

Poczucie ogólnego pojednania.

Alie zapada noc, a jasność nie chce ustąpić. Przeciwnie, na tle nocnej poświaty jest jeszcze bardziej oczywista. Porowata biel, okrywająca powierzchnię przedmiotów, jak od osadu fosforu, wydaje blask. I to już całe wnętrza pokoju emanują stłumioną światłością. Wystarczy podnieść rękę, aby przekonać się, że i moja dłoń prześwieca bladym światłem. W różowym miąższu wężowate żyły, w których roi się od iskerek rozładowań.

A więc i ja emanuję tą jasnością, która jest u swoich źródeł jakimś nowym stanem świadomości otwierającym, nie tylko przeświecającym, lecz także otwierającym wnętrza świata.

I uwaga szczególna: właściwością tego światła — całkowite wyłączenie mroku. Tak bym to określił, gdyż chodzi o brak cienia. Światło to, będąc powszechną emanacją blasku, nie rzuca cienia.

„Oddzielił światło od cmy” — nasuwa się mimo woli. I może kiedyś, gdy inaczej czytano te słowa, w tym miejscu postawiono by kapturkę. Literatura zachowała niejedno świadectwo o stanach podobnych nawiedzeń. Być może dawały one początek religiom, a w okresach późniejszych powodowały powstanie natchnionych dzieł sztuki, zmieniały widzenie rzeczywistości. I jeśli tak, to cały nasz świat z jego zasadami, dążeniami wyobnił się z tej światłości, może rozblaskującej niegdyś w próżni pierwotnego nic.

I cóż bym miał scedować moim wyimaginowanym spadkobiercom, jeśli nie wizję tej tajemnicy powstania naszego świata — świata z światłości (znaczące bliskobrzmiennie wyrazów). Cóż innego miałbym im zapisać? Te paręset użytych książek podręcznej biblioteki, która wiernie służyła mi w pracy, a więc należy się jej ta wdzięczność — zalecając miejsce ich ulokowania lub tego, co pozostanie po mnie samym.

Pamiętam, jakie ponure wrażenie zrobiło, kiedy po trumnie ze zwłokami kolegi B. przyjechało późnym wieczorem auto zakładu pogrzebowego i zawiozło gdzieś w pole, na najdalsze peryferie miasta, tak, że nawet wdowa nie mogła towarzyszyć mężowi w jego ostatniej przeprowadzce. Podobno dawny cmentarz komunalny został zamknięty dla ogółu i grzebią na nim jedynie zasłużonych. Widać zasługi B. nie upoważniły go do takiego wyróżnienia. Próbowałem porozumieć się odszukawszy cmentarny telefon. Ale umarli zachowali dostojne milczenie, jakie przysługuje ich stanowi. Na mój kilkakrotnie sygnał nikt z tamtego brzegu zapamiętania nie odezwał się. Dałem spokój troskom o nikły dorobek naszego doczesnego istnienia.

Pragnąłem natomiast scedować coś konkretniejszego: doświadczenie mego życia, a właściwie nie tylko mego, lecz tych wszystkich, którzy kiedykolwiek i gdziekolwiek doświadczyli grozy trzęsienia ziemi, spowodowanego erupcją tektonicznych sił czasu, kiedy zderzają się ze sobą epoki nawzajem się krusząc i płoną ułwite przez pokolenia gniazda. Wtedy ktoś, jeden na tysiąc zgładzonych, kto przeżył ten wodny czy ognisty światowy potop, ktoś, komu z nieznanых powodów darowano jego drugie albo któreś z kolei nowe życie, wszystko jedno kim by nie był, jak by się nie nazywał, nowo narodzony czy zmartwychwstały dowiadyuje się zdumiewającej prawdy, która zawsze mu w ukryciu skromnie towarzyszyła, a której nigdy dostatecznie nie docenił, że żyje i że to jest jedynym warunkiem spełnienia tego, po co do bytu został powołany, czyli — radości istnienia. Bo tylko temu, kto został z potopowej arki na zamuloną czy spopieloną po ustępujących żywiołach ziemi, dana jest pełnia uczucia wspólnoty z resztą świata.

## Za-palkowy ludzik

Pewien chłopczyk nauczył się cyfr wcześniej niż liter. Nie mając jeszcze pojęcia o liczbach, pisał cyfry gdzie tylko mógł sięgnąć. Na ścianach pokoi, na piasku, na swoich paznokciach. Znalazł w kuchni kombinację dwóch desek używanych do prasowania rękawów i upstrzył je kolumnami cyfr od jedynki do zera. Wtedy już coś wiedział wertując wielkie tomiska ilustrowane drzeworytami. Na jednym z obrzązków brodaty starzec trzymał wysoko nad głową dwie kamienne tablice (o kształcie podobnym do używanych do prasowania desek), na których były wryte cyfry, tyle, że prostsze, powstałe z samych kreszek.

Władcy, o długiej wijącej się brodzie, rogato opromieniony, trzymał w podniesionych ku niebu rękach te kamienne tablice, w które biły pioruny, aby można było przeczytać wryte w dwóch rzędach kreskopodobne cyfry, kryjące z pewnością (bo po cóż byłyby ten dramatyczny gest i błyskawice) jeszcze jakieś drugie, tajemnicze znaczenie.

Ostatecznie nie potrzebowałem piorunów, żeby utrwalić ich kształty: objawiły się nagle wysypawszy się z pudełka zapalek (a więc jednak był w potencji ogień!). Ułożyłem patyczki na dywanie w pionowej kolumnie: jeden, potem dwa, potem trzy, potem cztery i na końcu dwa zbliżone do siebie ukosem, tak, że powstała strzałka skierowana ku ziemi. I kolumna druga w tym samym porządku, tylko wasyście strzałek, a za podporę dwa patyczki skrzyżowane na ukos.

Tak pewnie radził sobie człowiek, który nie miał w jaskini



# Małe formy grafiki - Łódź '83

nie pod ręką, prócz palczyków ukłamywanych z chrustu naszykowanego do rozpamiętania ogniska. I zaraz odkrycie drugie: gdy skierowałem strzałkę do góry powstała litera A — jak Adam. Położywszy natomiast trzy palczyki na bok i żeby się nie rozleciały przekrzywiwszy palczyki średni na ukos, podpierając prawy koniec palczyka górnego, wywołaniem z bezkształtu literę Z — jak Zmartwychwstanie. Tak prosto narodził się alfabet, spinający Genesis z Apokalipsą.

Potem okazało się, że starzec był prawodawcą (stad piroryn); w pierwsze dziesięć liczb naturalnego szeregu wpisał kodeks karny, na ósmimieście którego ludzkość straciła kilka stuleci. Zastanawiałem się, dlaczego ograniczył się do pierwszych dziesięciu, kiedy żyjemy w świecie tuzinowym; przeliczającym wszystko na tuziny. Nawet miesięcy i godzin na zegarku mamy po dwadzieścia. Czy nie zabrakło tu czegoś bardziej po ludzku brzmiącego i była jeszcze (dla wtajemniczonych) trzecia, zakopana potem w ziemię tablica. I kiedy dostałem klocki z literami i zacząłem budować z nich świat z nazw rozsypanych jego części — nie nazwany chwiał się i topniał, przeciekając przez palce — spróbowałem dodać te dwa punkty układu prawnego: przykazanie XI — coś z radości życia jako ostatecznego jego ratunku.

przykazanie XII — o tolerancji czyli nieujmowaniu radości życia innym jako o warunkach trwałości wspólnoty ludzkiej.

Wpadłem też na prostą myśl, która jakoś zdaje się nikomu dotychczas nie przyszła do głowy, że rząd trzeci liczb (ukryty), podparty w tej nieznannej kolumnie (tablicy) krzyżkami, nie może urywać się na dwóch liczbach, że musi spaść do swej końcówki łączącej krzyżki ze strzałką, i że jest to zadaniem ludzi. Aby wypełnić go — czym? jakimi treściami? tworzeniem ilu jeszcze światów?

Książka w rękach matki opartych o kolana. Kiedy odkłada założoną drewnianym rozcinaczem — okładka Żoita z dużym napisem: **Wojna światów**. Rozumiem to taki: jest świat stworzony, gotowy, zastany przez ludzi (przychodzą do niego na gotowe) i są światy stworzone przez ludzi. I coś między nimi nie pasuje, nie zgadza się, doprowadzając do otwartej wojny. Wieczna zwaśna, spór toczony między rzeczywistością a urojeniem, urojeniem a rzeczywistością. Wojna światów.

A ponieważ wiedziałem już, że i mnie czeka udział w tej wojnie, musiałem poszukać sobie doradców.

Miałem ich kilku, ale z najpewniejszą sobie apodyktycznością radziło dwóch. Mieszkałi w bibliotecznej szafie na górnej półce rodziców. Rodzice myśleli, że mój mały jeszcze wtedy wzrost nie pozwolił mi penetrować tam buszując po przedwczesnych dla mnie lekturach. Ale ja potrafiłem przydziwiać debowy sirotek, stawałem na nim i w ten sposób sięgałem zastrzeżonej, niebotycznej półki. Zawarłem na niej też inne znajomości, tu jednak chodzi o doradców do spraw budowy świata.

Jeden z dwóch wspomnianych doradców uważał, że świat który zamierzam budować, powinien być dokładnie skopiowaną w szczegółach i całością makietą świata przeze mnie zastanego. Drugi natomiast wzruszał na to sceptycznie ramionami. Według niego nie było to możliwe w ogóle, bo już samo kopiowanie pomniejszając musiało powodować upraszczające deformacje. Po drugie nie miało to prostu sensu: bo po co powtarzać już raz powstałe i to w rozmiarach nadających się do zamieszkania muchy. Coś z rodzaju bibelotów dla zabawy dorosłych: zegarka

mieszczącego się w breloku na dewizce przy kieszonce kamizelki obok miniaturowej Wieży Eiffla. Mój świat miał być zbudowany od nowa z całą odpowiedzialnością i powagą z góry ustalonym: po co? dla kogo? i na jak długo?

Rady te budziły przedwczesne pragnienie, pobudzały do pierwszych prób. Gotowy materiał miałem pod ręką — zapalki. Na początek stworzyłem z zapalek człowieka. Mój zapalkowy ludzik miał wielką trójkątną głowę i był pusty na wylot, jak rama bez obrazu. Ale ruchliwy i gotowy w każdej chwili się zapalić. Już po pierwszych ruchach — wtajemniczenie wyższego stopnia w praktyce tworzenia świata! — wylamał się spod mojej kurtki, zaskakując samodzielnością. Miało to stronę dla stworcy wygodną: nie musiałem już za niego wymyślać. Pozostawiało notować jego poczynania. Obrabiałem go do ułatwioną formę, którą teraz nazywano by komiksem. W kwadratowych kolejnych kłatkach przedstawiałem jego losy bez słów, ażeby je teraz odtworzyć muszę wypełniać słowami, szczegółowym opisem obrazków.

Historia zapalkowego ludzika ułożyła się w dwunastu kłatkach. Treść nieskomplikowana. Ludzik zapalkowy, jak już powiedziałem, nie był niczym wypiętym i cierpiącym na wewnętrzna pustkę. Usta jego układały się w podkówkę — grymas udreżającej dezaprobaty. Zaczynało się od wczesnego ranka, kiedy słońce o uśmiechniętej kolistej twarzy i długich paęcypodobnych rękach promieniowało ludzika zapalkowego w łóżku, nie wywołując odwzajemnionego uśmiechu.

W drugiej sekwencji ludzik zapalkowy je śniadanie i nic mu nie smakuje. Wychodzi na spacer, gdzie nic nie sprawia mu przyjemności, choć dookoła kwitną kwiaty i śpiewają na gałęziach drzew ptaki. Wstąpił do ZOO, małpa pokazuje mu język, a on się wykrzywia. Nawet na karuzeli, na grzbiecie konia kartonowego nie potrafi się uśmiechać.

Ala wracając do domu zobaczył małego pieska, wychudzonego, dygocącego ze strachu i zima, bo dzieci chciały go ułotić w sadzawce i był do ostatniej nitki przemoknięty. I zapalkowy ludzik poczuł się nagle wypełniony. Wypełniło go wielkie serce w kształcie asa kierowego, tętniące miłością do nieszczęśliwego pieska. A wtedy świat w jego oczach wybuchnął radością życia i sam on spłonął naturalnym dla niego ogniem zapalki.

Morał — bo i ta przypowieśćka oparła się własnym impetem o moralistyczną pointę: powołaniem powołanego do spłonienia jest wyrzeczenie się trwania, które dłużej się przetrada się w nieskończoność samotniczej udręki.

Kiedy skończyłem komiksową opowieść, właśnie praczka przyniosła upraną bieliznę. Siadła w kuchni i żaliła się, że jej mały synek nie może pójść do szkoły, ponieważ nie ma ona na kupienie elementarza. Słyszac to, ofiarnie przyniosłem i podarowałem praczce w zastępstwie elementarza historię zapalkowego ludzika, była to moja pierwsza próba podzielenia się tworzonym przez siebie światem. Nie wiem, czy synek praczki miał dużo korzyści z mojego demiturgicznego wysiłku, jeszcze niemożnego, pozbawionego tak decydującego w komunikowaniu się ludzi środka, jakim jest słowo.

(Fragmenty większej całości).

LEON GOMOLICKI

Można chyba bez obawy zapewnienia powiedzieć, że impreza „Małe Formy Grafiki” weszła na stałe do kalendarza łódzkiej i międzynarodowej zarazem imprez kulturalnych. Pisząc o pierwszej wystawie Małych Form w 1979 roku nadzieję taką wyraziłem z całym przekonaniem, urzeczony pięknem małych arcydzieł graficznej sztuki, perełek warsztatowej maestrli, klejniczków prawdziwego do-wcipu i najgłębszej filozoficznej refleksji.

Impreza zrodziła się we współpracy łódzkiego Biura Wystaw Artystycznych i Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Odbywać się ma co dwa lata i ma mieć zasięg międzynarodowy. Jury przyznaje dziesięć Honorowych Medalii Wystawy. Każdej kolejnej imprezie mają towarzyszyć indywidualne wystawy laureatów sprzed dwóch lat. Obecnej towarzyszą ekspozycje prac Helmuta Nyström w Salonie Sztuki Współczesnej, José Hernandez w Galerii Batuckiej i Pavla Roučka w Galerii „Chimera”.

W roku bieżącym jury pod przewodnictwem prof. Stanisława Fijałkowskiego przyznało medale następującym twórcom: Albinowi Brunovskiemu i Karelowi Demelowi z Czechosłowacji, Shoichi Futami i Kunio Nagaoka z Japonii, Geraldowi Mackensenowi z NRD, Giulii Napoleone z Włoch i Magdalenie Hoffman, Leszkowi Rózdze, Antoniemu Starzewskiemu, Leszkowi Szamockiemu z Polski.

Albin Brunovsky i Kunio Nagaoka są laureatami imprezy po raz drugi. Mieli też swoje indywidualne wystawy w Łodzi. Ogółem w trzech dotychczasowych wystawach Małych Form Graficznych wzięło udział 279 twórców z 31 krajów pokazując 2300 prac.

Całą imprezę tegoroczną można śmiało i bez najmniejszej przesady nazwać wydarzeniem artystycznym dużej miary. Ale rzecz się dzieje w Łodzi, rezonans zatem tej imprezy jest raczej słaby. Świętą wystawę grafik José Hernandez oglądałem przy pustej sali. Sam jeden. Na dwóch pozostałych — Nyström i Roučka — też nie spokoiłem tłumów. Telewizja i prasa centralna także wystawami specjalnie się nie zajęły. Ale to pewnie dlatego, że wychodzenie z kryzysu absorbuje nas bez reszty. Cóż, faktem jest, że żyjemy w czasie dla sztuki niełaskawym. Tylko że jak sobie przypominam, pierwsza wystawa Małych Form też przeszła bez specjalnego echa, chociaż zasługiwała na uwagę. I druga także... No, ale zostawmy te żale. Wszak w tym mieście tyle zdarzeń artystycznych wysokiej próby przeszło bez echa, że czas się przyzwyczaić. Chociaż trudno.



## Z półki recenzenta

### O AUTENTYZMIE

Jan Bolesław Ożóg jest poetą, współtwórcą w naszej kulturze kierunku nazwanego „autentyzmem”. Właśnie ukazał się zbiór jego szkiców poświęcony temu tematowi pt. „Z manowców na prostą drogę”, który jest kontynuacją i dopełnieniem wydanego kilka lat temu „Mojego autentyzmu”. W jednym z zamieszczonych szkiców Ożóg tak mówi o sobie: „Bohaterem lirycznym w wierszach jestem ja i ośmielam się powiedzieć, że jestem autentyczny jako człowiek”. Ten autentyzm to „introwertyzm”, zwracanie się do własnych zakamarków psychiki, do tego co ukryte i nie zawsze sobie uświadamiane. W sumie jest to książeczka ciekawa, choć momentami zawarte w niej sądy budzą kontrowersje.

Jan Bolesław Ożóg: Z manowców na prostą drogę. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 156. Cena 60 złotych.

### BIAŁY PEJZAŻ

Jest to zbiór opowiadań nieznanego dotąd u nas francuskiego pisarza, poety i scenarzysty Daniela Boulanger'a. Każde z dwudziestu siedmiu opowiadań to odrębny portret przeciętnego w swojej zwyczajności człowieka, a zarazem jest to zresztą przedstawiony dramat, obnażona inna natura spokojnych skądinąd ludzi. Można byłoby się pokusić o dokonanie, na podstawie zaprezentowanych portretów psychologicznych, oceny współczesnych postaw, o ustalenie granicy dzielącej człowieka na „dobrego” i na „złego”, lecz zostawiamy to samym czytelnikom. W sumie jest to lektura ciekawa, podana w skondensowanej formie i pełna zaskakujących point.

Przekład: Danuta Knysz-Rudzka.

Daniel Boulanger: Biały pejzaż. KJW 1983. Str. 244. Cena 110 zł.

### ZAMACH NA PREZYDENTA

Kiedyś pasjonowaliśmy się książką „Dzień szakala” opisyjącą przygotowanie zamachu na de Gaulle'a. Obecnie na rynku księgarskim pojawiła się podobna: przygotowywanie zamachu na kolejnego prezydenta USA, Edwarda Kennedy'ego, który wygrał wybory w 1980 roku, wysadzając z fotela Reagana.

Książka jest pasjonująca, czyta się „jednym tchem”, pełno w niej niezwykłych przedsięwzięć, drobiazgowych przygotowań, krwawych zamachów, pracy CIA, miłości i nieporozumień. Wszystko jednak kończy się dobrze, zamachowcy zostają ujęci, a główny bohater w końcu może się połączyć z ukochaną.

Jeffrey Archer: Czy powiemy prezydentowi? Czytelnik 1983. Str. 248. Cena 100 zł.



Nie będę pisał recenzji z wystawy Małych Form. Nie będę dzielił się moimi wrażeniami. Różnorodność eksponowanych prac, różnorodność i tematyka, i formalna, bogactwo inwencji, fantazji i wyobraźni, ta cała ogromna wielość indywidualności bardzo różnych sprawiają, że trzeba by tu metodycznie pochylać się nad każdym niemal autorem. Byłoby to trochę bez sensu, bo i miejsca by nie starczyło, i nie sposób zresztą do końca przekazać tego niezwykłego klimatu, jakim emanują niektóre z tych małych grafik. Trzeba je po prostu obejrzeć samemu. Właśnie — obejrzeć. Ale z tym jest kłopot, bowiem warunki ekspozycji są po prostu złe. Zrobiono wszystko co można było, ale rezultat nie jest najlepszy. Małe grafiki za szybami gina, błyszczą się, migoczą. W szybach odbijają się ładne skądinąd żyrandole. Odbijają się inne grafiki. Poza tym wielość tych drobnych rzeczy rozprasza uwagę, nie pozwala skupić się, unemożliwia koncentrację oglądającego. Wiem, że na to nie ma rady. W tych warunkach nie można było zrobić niczego innego.

To znaczy teoretycznie można zrobić. Można by wydać obszerny katalog-album. Katalog rzeczywiste WYDRUKOWANY. Wedle wszelkich zasad pięknej sztuki drukarskiej. Ale wedle naprawdę WSZELKICH ZASAD. Katalogi Helmuta Nyström, José Hernandez, a zwłaszcza Pavla Roučka to istny koszmar. To coś, co uraga wszystkim zasadom drukarskiej sztuki. Wszystkim. Ale rozumiem — kryzys i dobrze, że ukazały się chociaż takie. Pewnie, że dobrze. Nasze wnuki, o ile dożyją, będą mówili z podziwem, biorąc do ręki te katalogi-dokumenty: Patrzcie, taki miał kryzys, a zajmowali się jeszcze sztuką! Właśnie. Trzeba po sobie zostawić wyraźne ślady, bo tylko one mogą dać po latach świadectwo czasu.

Pewnie taki katalog trzeba by drukować gdzieś za granicą, bo to i papier, i druk, i oprawa, i w ogóle. Może zainteresowałyby się tym Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, może wydawnictwa specjalizujące się w reprintsach? Wreszcie te małe graficzne arcydzieła są do oglądania tylko w intymności własnego domu i własnego stołu. Tam dopiero odsonić mogą całe swoje bogactwo. Zapewne fantazjując za bardzo. Ale niejednemu miłośnikowi sztuki graficznej taki album się marzy.

ANDRZEJ GRUN

JAN SZTAUDINGER w latach 1946-60 żył i tworzył w Szklarskiej Porębie, w domu przy ul. 1 Maja 55. 23.VII, przed wejściem do tego budynku odsłonięto tablicę upamiętniającą pobyt znanego poety i fraszkopisarza w tym mieście. Uroczystość odbyła się w obecności dwojga dzieci Jana Sztudyngera — Anny i Jacka. Tablicę ufundowało Jeleniogórskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, a wykonała ją odlewnia Fabryki Maszyn Papierniczych „Famda”.

W ŁADKU ZDROJU od 4 do 6 września br., już po raz dziewiętnasty odbywać się będzie festiwal muzyki rosyjskiej i radzieckiej. W tegorocznej imprezie wezmą udział także artyści radzieccy, a mianowicie: chór z Moskwy, zespół pieśni i tańca z Kostromy pod Moskwą oraz Zespół Pieśni i Tańca Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. W koncercie inauguracyjnym wystąpi Centralna Orkiestra Reprezentacyjna Wojska Polskiego z programem

## Kronika kulturalna

zatytułowanym „Stroły przyjaźni”. Ponadto w programie pozostałych koncertów wezmą udział: Orkiestra Rozrywkowa Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach pod dyrekcją Jerzego Miłhana oraz Orkiestra Państwowej Filharmonii w Wałbrzychu pod dyrekcją Józefa Wilkomirskiego. Solistami koncertów będą m.in. Adam Zwierz, Roman Gerczak, Bolesław Gomulicki.

ZYCZLIWIE przyjęli zarówno stali mieszkańcy Torunia, jak też turyści z kraju i zagranicy, inicjatywę Toruńskiego Towarzystwa Kultury, aby na murach miejskich w najbliższym sąsiedztwie Krzywej Wieży w Toruniu organizować targi sztuki nieprofesjonalnej.

Wystawiali tam swe prace plastycy amatorzy ze Szczecina, Koszalina, Gorzowa Wlkp., Leszna, Zielonej Góry i oczywiście Torunia.

Prezentowano i sprzedawano obrazy na płótnie i szkle, akwarele i rysunki. NA MOSKIEWSKIM festiwalu polski film (jeszcze nie znany krajowej publiczności) pt. „Pastorał Heroica” Henryka Bielskiego zdobył nagrodę radzieckiego Komitetu Obronców Pokoju, a odwoławca głównej roli, Wirgiliusz Gryń — nagrodę za kreację aktorską.

KRZYSZTOF ZANUSSI, który brał udział w XIII Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie — udzielił wywiadu PAP. Powiedział w nim m. in.: „Uważam za pozytywny fakt podjęcia działalności przez Stowarzyszenie Filmowców, natomiast niepokoję się stanem naszego przemysłu filmowego. Od strony kadrowej i technicznej przemysł ten znalazł się w sytuacji, którą ocenić trzeba jako krytyczną. Jest to efekt wieloletnich zaniedbań. Mam nadzieję, że stowarzyszenie będzie mogło swoim czynnym udziałem przyczynić się do ratowania naszego warsztatu pracy. Po wojnach zagranicznych Zanussi w lutym przyszłego roku planuje rozpoczęcie zdjęć w Polsce do autorskiego filmu pt. „Rok spokojnego słońca”. „Rok” — mówi reżyser — będzie filmem kostiumowym, jeśli tak można nazwać utwór dziejący się w 1946 r. Akcja rozgrywać ma się na Ziemiach Odzyskanych, a bohaterami są przybyła tam repatriantka zą Buga i szofer alianckiej komisji do badania zbrodni hiterskich w obozie w Zaganiu.

KIELECKIE Muzeum Narodowe (dawniej Muzeum Świętokrzyskie) świętuje swoje 75-lecie. W kieleckiej galerii sztuki zasługuje zwłaszcza na uwagę z dużym znanstwem i pietetnym kolekcjonowane polskie malarstwo.

## Dokończenie ze str. 1

bez szczególnej akceptacji, za-  
ważenia, reklamy, podziwu?

— Może, ale ta oprawa jest  
bardzo potrzebna, to dodaje  
wiary w siebie, a ona jest  
niezbędna.

— Wciąż pozostaje pani w  
cieniu swojej koleżanki Ewy  
Wycichowskiej, którą od lat  
dublują pani w większości ról.  
Czy teraz, publicznie przyzna  
się pani do tego?

— Tak. Przyzwyczaiłam się  
przez te lata, że splendory  
zbiera kto inny. Podczas pobytu  
teatru za granicą nie było  
moich zdjęć, nie byłam zaprasza-  
na na bankiety, czego zresz-  
tą nie lubię. Najważniejsza  
jest dla mnie praca i zadowo-  
lenie z tego, co robię u mojej  
publiczności.

— Czyli pogodziła się pani ze  
swoją pozycją w teatrze i tytu-  
łem „druga”?

— Tak.

— A może by tak spróbo-  
wać ataku na poprzeczkę wła-  
snych możliwości i pokazać,  
że stać panią na więcej niż o-  
czekuje się tego pa niej?

— To nie zależy ode mnie.  
Zresztą w naszym teatrze jest  
to niemożliwe, bo nie może się  
spełnić moje marzenie zatań-  
czenia Eginy w „Spartakusie”  
z uwagi na brak w zespole  
męskim. Gdyby jednak kiedyś...  
to zrobiłabym wszystko, aby w  
wymarzonej partii pokazać sie-  
bie nieznaną.

— Wzory najlepszych tan-  
cerk do naśladowania?

— Olga Sawicka, Maja Pli-  
siecka, Galina Ulanowa.

— Była pani na stypendium  
w Moskwie?

— Kiedyś, gdy tańczyłam w  
zespole, mój pedagog Nina  
Bielikowa bardzo chciała wy-  
słać mnie na stypendium do  
Moskwy, ale kierownictwo  
baletu nie było zainteresowane  
w wysyłaniu zespołowej tan-  
cerki.

— Jakże więc szanse na wła-  
sny rozwój ma pani obecnie,  
tu?

— Żałuję, że od 2 lat nie ma  
w Łodzi znakomitych pedago-  
gów radzieckich, ale bardzo  
wierzę w talent pedagogiczny  
Liliany Kowalskiej. Praca pod  
jej kierunkiem przyczyni się do  
mojego dalszego rozwoju, ona  
szczególnie dobrze mnie zna i  
świetnie wpływa na moją psy-  
chikę.

— Rozmawialiśmy przede  
wszystkim o pani walorach a-  
le wspomnę też o niedoskona-  
łościach, tych zasłyszanych w  
branży, nie wiem tylko czy  
prawdziwych i tak: Fronczek  
brakuje dużego wnętrza?

— To nieprawda, że jestem  
zimna po „Coppell” ktoś auto-  
rytatywny powiedział, że jestem  
pierwszą tak cieniłą Swanildą.

— „Fronczek jest świetna tan-  
cerka ale bez określonej oso-  
bowości”?

— Może nie tyle brakuje mi  
osobowości, co odwagi.

— „Fronczek to techniczka, a-  
le do artysty w sztuce tańca  
to nie wystarcza”?

— Chyba jest odwrotnie bo  
nie zawsze jest tak dobrze z  
moją techniką a właśnie zadania  
aktorskie przeprowadzam  
konsekwentnie do końca, mo-  
ga być skrajnie inne od tan-  
cerki tańczącej tę samą partię,  
ale z tym, że interesuje mnie  
tylko techniczne opracowanie  
rol, nie zgodzę się.

— „Fronczek powinna przeżyć  
jakis wstrząs psychiczny a mo-  
że by tak odlać ją do prądu i  
sprawdzić reakcję”?

— Kiedyś moja dobra przyja-  
ciółka-tancerka powiedziała, że  
moje najpiękniejsze przed-  
stawienie „Gajane” odbędzie się  
wtedy, gdy w życiu prywatnym  
przeżyję wielki szok wówczas  
widz zrozumie dramat mojej ho-  
talerki. Przeżyłam taki wstrząs.  
Ktoś mądry powiedział że ak-  
tor na scenie nie powinien być  
naturalny, bo szybko się spałi.  
Zauważyłam to na sobie gdy cza-  
sami za mocno chcę wejść w  
postać — spaliam się. W każdej  
rolę wkładam za dużo serca.  
W „Stabat Mater” iży toczy się  
jak grzechy, tak wielkim prze-  
życiem jest dla mnie jedyna ze  
scen z widowni tego nie wi-  
dac, bo stoję wtedy tyłem. Za-  
cytowana przez pana opinia o  
mnie jest okrutna i niespra-  
wiedliwa.

— Pani jest liryczką czy tra-  
giczką?

— Tragiczką, bo najbardziej  
odpowiadają mi dramatyczne  
role.

— Potrafiłaby pani zatańczyć  
partię komieczną?

— Chętnie bym spróbowała,  
ale nie wiem czy dobrze bym  
się w niej czuła.

— Nie ma pani jeszcze chęci  
do dalszej pracy?

— Jestem bardzo zmęczona i  
chciałabym, żeby starczyło mi  
sił na kilka lat.

— Ile pani ma lat?

— 32.

— Za 8 lat emerytura?

— Tak, mogę potańczyć takie  
partie jak obecnie 4—5 lat.  
Później poświęcę się pracy pe-  
dagogicznej w szkole i zajmę  
się domem.

— Niektórzy z pani kolegów  
z teatru szukając dalszych mo-  
żliwości rozwoju, wewnętrznego  
wzbogacenia, satysfakcji, wyje-  
żdżają za granicę. Nie myśla-  
ła pani o tym?

— Myślałam, ale zbyt późno.  
Za granicą jest bardzo dużo  
tancerki, większe szanse mają  
mężczyźni, których brakuje tam  
podobnie jak u nas.

— O czym teraz myśli pani  
w związku z zawodem?

— Wydaje mi się, że osią-  
gnęłam bardzo dużo, więcej niż  
planowałam. Chciałabym spró-  
bować tańca modern, na bosą.  
Jak do tej pory miałam tylko  
jedno takie doświadczenie. W  
baletie „Głos kobiecy”. Moje  
marzenia są skromne.

## NAJPIĘKNIEJSZY

— Czy jako mały chłopiec  
też był pan taki ładny?

— Tak, musiałem być bardzo  
ładny, skoro moje zdjęcie od  
komuni figurowało przez 10 lat  
w gablocie wystawowej u foto-  
gra.

— Ale same dary natury w  
postaci choćby tak długich nóg,  
tak prostych pleców i tak  
kształtnej głowy jak u pana nie  
wystarczy, aby zostać tan-  
cerem?

— Owo wspomnienie moich  
świetnych warunków zewne-  
trznych towarzyszy mi już od  
najmłodszych lat. Wolabym, że-  
by zwracano uwagę na moje  
inne atuty. Aby być tancerzem  
potrzebne są: warunki fizyczne,  
talent wrodzony, wewnętrzna  
kultura i przekonanie, że uro-  
dziłem się po to, aby tańczyć.  
Kolekty mówią o wielkiej pra-  
cy nad sobą, zgoda, ale nawet  
największa praca nie zrozi z  
beztalencja artysty. Można się  
zapracować na śmierć a to i  
tak nie pomoże. Ważniej-  
sza od pracy jest osobowość.

— Był pan najlepszym uc-  
niem na roku w szkole balet-  
owej w Gdańsku?

— Przez ostatnie dwa lata  
miałem z tańca klasycznego o-  
cenę niedostateczną, a w ósmej  
klasie zaproponowano mi, abym  
gotował klej u szewca. Pedagog  
nie potrafił znaleźć odpowied-  
nego podniecia do mnie. A ja już  
wtedy znałem swoją wartość.  
Po zatańczeniu dyplomu, otrzy-  
małem z tańca klasycznego o-  
cenę dobrą, z tańca charaktery-  
stycznego — bardzo dobrą. Mó-  
wiono o mnie: „Młody, zdolny,  
ale szalenie leniwy”.

— I dlatego uciekł pan z  
Gdańska do Łodzi?

— W Gdańsku była mała sce-  
na i słaby zespół baletowy.  
Kiedy do Gdańska przyjechał  
Teatr Wielki z Łodzi z „Kro-  
lewną Snieżką” przedstawiłem  
się Witoldowi Borkowskiemu i  
zapytałem — czy chce abym  
pracował w Łodzi? Kierownik  
baletu odpowiedział: „Oczywi-  
ście tak. Pracę w Łodzi roz-  
począłem 1 września 1974 roku.”

— Powitano tu pana entuzja-  
stycznie, otoczono wszechstron-  
ną opieką, dano już na początku  
szanse na rozwój?

— Nie, zostałem potraktowa-  
ny jak każdy adept. Stałem ci-  
cho spokojnie, grzecznie przy-  
drażku na sali prób i rzekałem  
na odkrycie. Szeptano, że onś  
z niego będzie, ale z drugiej  
strony słyszałem, że poczeka so-  
bie, bo nie bardzo mu na prze-  
bicie się pozwolą inni.

— I rzeczywiście nie dopu-  
ścili?



Anna Fronczek  
Foto: Chwałistaw Zieliński

## Tancerze

— Jak każdy tancerz zaczy-  
nałem od pracy w zespole, ob-  
sadzany przy wstawkach ba-  
letowych do obsługi przedstawień  
operowych. Wtedy tancerzy ze-  
społowych dzieliła od solistów  
wielka przepaść. Ale wyzwała  
to ambicje do bycia solistą i  
szacunek dla nich.

— Miał pan wtedy dużą kon-  
kurencję?

— Tak, to był bardzo dobry  
zespół baletowy z utalentowaną  
młodzieżą. Ale myślę, że miałem  
lepszą od nich szkołę. Później  
nie miałem prawdziwych konku-  
rentów, a więc i nie było dopin-  
gu, żeby iść dalej. W Łodzi  
— Kazimierz Wrzosek, któremu  
mogłem nosić baletki, w Gdań-  
sku byłem jedynym pierwszym  
solistą. Kiedy wróciłem do Ło-  
dzi, Krzysztof Pastor przygo-  
towywał się do wyjazdu za gra-  
nicę.

— To już wiem, dlaczego mó-  
wiono o panu: „leń, który w  
ogóle nie pracuje”.



Jerzy Piętka  
Foto: Chwałistaw Zieliński

szczęścia lub dobry humor kie-  
rownika.

— Dla kogo pan pracuje?

— Tylko dla siebie, zawsze i  
przede wszystkim. Każdy tan-  
cerz jest egoistą. Poza sobą my-  
śli tylko o widzach, którzy też  
potrafią nas zmobilizować.

— Właściwie to jak do tej po-  
ry tańczy pan jedynie „małą”  
i „dużą” klasykę. Nieczego wię-  
cej pan nie potrafi?

— Tak się złożyło, że w ba-  
lecie, w którym mógłbym się  
rozwinąć w innych techni-  
kach, myślę o „Faust-story”  
tańczyłem, gdy nie byłem  
w formie. Tytułową partię  
tańczyłem po dwuletniej  
przerwie (wojsko), ze złama-  
nym nadgarstkiem. Kiedy po-  
czułem się zdrowszy, przed-  
stawienie zeszło z afisza. Chciał-  
bym się sprawdzić w modern.

— „Amant baletowy”, „ro-  
mantycki tańca”, „wieczny ksią-  
żę”, „Śpiący król”, to pana  
role, to właśnie jest pan?

— Mszczą się na mnie moje  
warunki fizyczne, ale w „Sym-  
fonii fantastycznej” musiałem  
pokazać prawie krzyk, dynami-  
kę, w „Fauście” — szaloną o-  
strość wyrazową, w „Gajane”  
— moja miękkość była już gę-  
bsza, mniej cutkierkowa. Rola  
Gika w tym baletcie bogata we-  
wnętrznie bardzo mi odpowia-  
dała, zróżnicowana skala napięć  
w aktorskim wyrazie i cały na-  
strój spektaklu.

— Co z tego, skoro jest pan  
tak delikatny i kruchy, że nie  
może utrzymać w gorze part-  
nerki, na co one się uskarża-  
ją?

— Mogłbym podnieść słońca  
do góry, bo zawsze czułem się  
bardzo silny. Niestety, w szko-  
le nie posiadałem umiejętności  
partnerowania z uwagi na za-  
niebdanie tego przedmiotu i pra-  
ktycznie zacząłem się tego uc-  
zyć dopiero na swoich partner-  
kach.

— Mówiono też o pana cią-  
głych kontuzjach?

— Kontuzjach? Była i jest  
tylko jedna, do dziś mam rza-  
naną kość łódeczkową w le-  
wym nadgarstku. Można to wy-  
leczyć tylko operacyjnie, ale  
straciłbym kolejny sezon, na co  
nie mogę sobie pozwolić. Obec-  
nie nie mam świadomości zła-  
manej ręki, przy podnoszeniu  
partnerki nakładam dla zabez-  
pieczenia skórzaną opaskę.

— Ile pan ma lat?

— 28.

— To poważny wiek jak na  
tancerza, zdaje pan sobie spr-  
awę z przegapionych szans, mo-  
żliwości, okazji?

— Tak, moje jedyne uspra-  
wiadliwienie to, że nie z wna-  
snej winy i nieświadomie. Po-  
prostu miałem pecha. Nie zd-  
rzyło się do tej pory, aby nie  
wyreklamowano od służby wci-  
skowej pierwszego solisty ba-  
letu w teatrze. Byłem wyjątkiem  
choć tańczyłem w Centralnym  
Zespole Artystycznym WP, dwa  
lata uważam za stracone.

— Jest pan pierwszym soli-  
stą baletu Teatru Wielkiego w  
Łodzi czy ktoś tak wysoko po-  
stawiony w baletowej hierar-  
chii może wybić się na ogólnopolską  
skalę?

— Oczywiście, przecież pisze  
się o mojej pracy nie tylko w  
łódzkiej prasie, pokazuję w o-  
gólnopolskim programie TVP  
To małe środowisko, obecnie  
niezintegrowane. Każdy pracuje  
na siebie i dla swojej publi-  
czności. Trzeba mówić o sobie  
samych dobrze, aby urabiać o  
tancerzach pozytywną opinię  
wtedy ludzie zaczną nas trak-  
tować jak artystów baletu, nie  
lokalowych tancerzy.

— Nie próbował pan przenieść  
się do Warszawy?

— Myślałem o tym, że nigdy  
nie pójdę. Mimo, że zabrzmi to  
paradoksalnie, wielu tancerzy  
myślało o Warszawie podobnie  
jak ja, czyli na nie.

— Obecnie znajduje się pan  
w szczytowym okresie swojej  
formy, zbiera znakomite re-  
cenzie na roli Franciszka w  
„Coppell”. Ewa Wycichowska u-  
kłada balet dla pana Ciekawy  
jestem ile kosztuje pana, aby  
był tak dysponowany i lek-  
kim jak ptak?

— Złożyło się na to wiele  
czynników, poczynając od spr-  
awy osobistej (jestem szczę-  
śliwym mężem, a od niedawna

ojcem) do ciekawych zadań w  
teatrze i jeszcze ciekawszych  
perspektyw na przyszłość.

— A prepos pana białej lek-  
kości. Ile pan waży?

— 68 kg.

— Przy wzroście?

— 181 cm.

— Czytelnik teraz pomysłi so-  
bie: co za chudzielec?

— Do wzrostu waga ta jest  
za mała, ale pocieszam się o-  
pinia, że choć jestem taki chud-  
dy za to na scenie jakoś wy-  
glądam.

— Jak odżywia się tancerz w  
kryzysie?

— Czasami czuję się rozple-  
szczony przez moją żonę, która  
zawsze wystoi dla mnie mię-  
sko, choć sama jest solistką  
baletu i ma wiele obowiązków.

— Teraz przybędzie panu na  
wadze, bo w RFN, gdzie się pan  
niebawem wybiera, mają do-  
skonale wyżywienie?

— Nie jadę tam, żeby przy-  
tyć, jadę, aby poznać i zobaczyć  
wybitnych tancerzy, wspaniałe  
zespoły baletowe, popracować  
w odmiennych warunkach, gdzie  
praca jest bardziej doceniana  
i nie traktowana jak zio kon-  
ieczne przez artystów, co u  
nas coraz bardziej jest widocz-  
ne. Zdając sobie sprawę z wia-  
snych niedostatków, liczę na to,  
że nadrobię braki i wiele się  
tam nauczę.

— Tylko właściwie dlaczego  
pan wyjeżdża, mając tu wyso-  
ką pozycję i główne partie w  
premierowych przedstawieniach?

— Wbrew pozorom nie mam  
aż tak wysokiej pozycji. Świa-  
domość, że na bezrybiu i rak  
ryba, nie spełnia moich ambi-  
cji i nie daje mi spokoju. Czuję  
się jak tancerz występujący  
w nagłym zastępstwie.

— Przecież jedzie pan do  
małego teatru w prowincjonal-  
nym mieście Hoff?

— Ale nie wstydę się tego.  
Wręcz przeciwnie. Mam dużą  
przyjemność, że będę pracował  
z wybitnym choreografem Jer-  
zym Makarowskim i tańczył  
naszymi byłymi pierwszymi  
solistami: Jerzym Barankiewiczem,  
Krzysztofem Pastorem,  
Jerzym Graczykiem.

— Zapewne myśli pan o  
skoku gdzieś dalej?

— Owszem, inaczej chyba nie  
odważyłbym się na ten wy-  
jazd. Będąc optymistą, myślę,  
że zaspokojenie moich ambicji  
stanie się faktem. Mogłbym  
tańczyć w ostatniej linii u Be-  
jarta lub Noumaiera, byle się  
tam dostać.

— Kiedy wróci pan do Ło-  
dzi, praca tu może być dla pa-  
na pewną dewaluacją, cofnię-  
ciem się kariery?

— Zawartłem umowę z dyr.  
Sławomirem Pietrasem, że wró-  
cę do Łodzi w pełni sił arty-  
stycznych, w lepszej formie i  
bogatszy o nowe doświadczenia.  
A jako że wyjeżdżam będąc  
pierwszym solistą baletu Teatru  
Wielkiego w Łodzi, to przy naj-  
większych sukcesach na Za-  
chodzie (co jest raczej mrzon-  
ką) dewaluacja mi nie grozi.  
Nie rozstaje się z łódzkim ba-  
letem, będę tu przyjeżdżał na  
występy gościnne, podczas wy-  
stępów Teatru Wielkiego w  
RFN zatańczę Franciszka w  
„Coppell”.

— Mimo wszystko dziwię się  
dyrekcji teatru, że dała panu  
zezwolenie na kontrakt w RFN  
przy obecnym katastrofalnym  
stanie osobowym w dziale  
męskim łódzkiego baletu i przy na-  
nej obecnej formie i praktycz-  
nie niezastąpieniu w klasyc?

— Dla jednych jestem niez-  
astąpiony, ale dla drugich nie.  
Choć muszę przyznać że dyr.  
Sławomir Pietras jest wyia-  
tkowo obiektywnym opiekunem  
artystów. Świadomość, że tylko  
za jego dyrekcji mógłbym tu  
coś osiągnąć, podczas gdy on o-  
puszcza, powoduje pewne wa-  
hanie.

— Więc może?

— Ale inne argumenty prze-  
ważają za wyjazdem.

Rozmawiał:  
**BOHDAN  
GADOMSKI**

**STEFAN ASKENASY** urodził się w 1890 roku w Warszawie. Naukę gry rozpoczął w swojej szkole, dalsze studia odbywał w Wiedniu. W latach 1922-25 był profesorem Konserwatorium w Kairze, a następnie przez 40 lat profesorem Królewskiego Konserwatorium. Artysta koncertował we wszystkich krajach Europy z najznakomitszymi orkiestrami i najbardziej słynnymi dyrygentami świata. Cieszył się legendarną wprost popularnością zwłaszcza w Niemczech, Belgii i Holandii. Uważany jest za jednego z najznakomitszych interpretatorów muzyki Chopina i Mozarta. Brał udział w licznych konkursach międzynarodowych jako juror. Od zakończenia II Wojny Światowej do Polski przyjeżdżał rzadko. Od 1932 r. jest obywatelem Królestwa Belgii. W dniach 10-14 sierpnia br. brał udział w 38 Międzynarodowym Festiwalu Chopinowskim w Dusznikach Zdroju i udzielił tam przedstawicielom naszej Redakcji poniższego wywiadu.

**Red. — Co Pan Profesor czyni, iż mimo pięknego już wieku, zachowuje nadal świetną formę i sprawność nie tylko manualną? Po wysłuchaniu tutaj w Dusznikach Pana wspinał się pod kądem względem recitali, myśliśmy, że postawienie takiego pytania jest zupełnie na miejscu.**

**S.A. —** Prawdziwą odpowiedź należałoby chyba uzyskać od samego Pana Boga. Ale myślę, że i ja także mam w tym swój współdział. O toż z natury jestem optymistą. Takim wzorem i przykładem do naśladowania optymistycznego usposobienia i natury był dla mnie mój starszy kolega z profesji Maurycy Rosenthal — uczeń Franciszka Listy i jeden z pierwszych autorów wariacji a-moll na temat Paganiniego. Właśnie M. Rosenthal będąc w podeszłym wieku ciągle jeszcze koncertował. Jako 75-letni wirtuoz występując w Amsterdamie miał bardzo nieprzychylną opinię prasy. Kiedy zaś nazajutrz jego przyjaciół przedstawił mu krytyczne opinie prasy o jego występach, ten zapytał rozmówcę, czy myśli on, że będzie to miało wpływ na jego dalszą karierę artystyczną. Tego rodzaju troski o przyszłość u mnie już dawno minęły. Bo wiem już dziś mam o 12 lat więcej niż on miał wtedy. Ale ja jestem nadal optymistą. Nawet w czasie okropności i tragicznych niebezpieczeństw, jakie niosła ze sobą II Wojna Światowa, kiedy widmo śmierci i pożogi lamtało wiele twórców i szlachetnych charakterów i ja zawsze mówiłem do moich znajomych i przyjaciół, że najdalej za 3 miesiące wojna z pewnością się zakończy. Powtarzałem to uparcie przez 5 lat. Aż wreszcie pewnego dnia słowa moje okazały się prorocze, choć ja sam w chwili, kiedy je wypowiadałem nie mogłem jeszcze o tym wiedzieć.

Jeszcze jeden przykład z mojego optymistycznego sposobu życia. Dwa lata temu kazałem sobie uszyć nowy frak. Stepu takiego — jak wiadomo — nie zmienia się co dwa lata — służy on znacznie dłużej. Optymizm pomaga więc żyć i tworzyć.

**R. — Jest Pan dziś jednym z niewielu w świecie, a może jedynym, który słuchał koncertów wielkiego Ignacego Paderewskiego. Czy znał Pan także Paderewskiego osobście?**

**S.A. —** O tak... Znałem, ale jeszcze więcej słuchałem. Słyszałem kilka razy jego koncerty. Po raz pierwszy we Lwowie, hodując w 1912 roku. Dał on wówczas trzy koncerty publiczne. Byłem na jednym z nich, zdobywając bilet na tzw. „drugą galerię”, a była jeszcze trzecia. Czyli nie było tak źle. Paderewski grał wtedy znakomicie. Pamiętam to doskonale. Do dziś jestem pod wrażeniem tamtego koncertu. Już nigdy później w życiu nie miałem szczęścia bezpośrednio uczestniczyć w takim wydarzeniu. Co prawda, później jeszcze kilka razy słuchałem koncertów Paderewskiego w Brukseli. Grał także cudownie, ale brak było tego audytorium i atmosfery, która towarzyszyła jego występom we Lwowie. Trzeba pamiętać, że wówczas Polska jeszcze nie zmartwychwstała, a Lwów w tym czasie miał przemożny wpływ na kulturę polską. Jako ciekawostkę warto podać, że impresario organizujący lwowskie koncerty Paderewskiego zrobił na nich duży majątek.

W moich młodzieńczych, lwowskich czasach nie było mi jednak dane poznać osobiście tego artysty. To nastąpiło dopiero w Brukseli, bezpośrednio po jednym z jego koncertów, któremu się przysłuchiwałem. O toż po zakończeniu występu mistrza wszedłem do jego pokoju, aby przyrzec mu się z bliska. Obecny tam polski poseł pan Jackowski przedstawił mnie Paderewskiemu. Ten — słysząc moje nazwisko — spytał z kłótych to ja jestem? Askenasy, czy jestem krewnym Szymona, znanego historyka. Mój ojciec był wiceprezydentem miasta Lwowa. Kiedy w 1910 roku z okazji obchodów 100-lecia urodzin Fryderyka Chopina Paderewski przybył do naszego miasta, to na jego cześć wydano bankiet. Był tam także mój ojciec. Paderewski z uwagi na

kontuzję ręki nie mógł wzbogacić uroczystości własną interpretacją muzyki Chopina. Wygłosił natomiast bardzo piękny odczyt pt. „Chopin a naród”.

Zwróćcie panowie uwagę, że to, co tu przed chwilą w bardzo dużym skrócie przedstawiłem Paderewski pamiętał jak najdokładnie; choć wspomnienia te dotyczyły zjawisk sprzed lat kilkudziesięciu. Paderewski miał fenomenalną pamięć. Pamiętam, jak pewnego razu jeden z adoratorów sztuki Paderewskiego, dyplomata z profesji, na potwierdzenie niesłychanej pamięci mistrza stwierdził, że potrafi on zagrać bez pomocy nut około 200 „kawalek”. Dy-

wowych czasach nie było zabezpieczeń socjalnych, panita, aby żyć, dawała lekcje gry na fortepianie mimo wieku (89 lat), w którym tego robić już nie powinna była. Nauczycielka ta uczyła także moją mamę i babcię. Natomiast jej nauczycielem był syn samego Wolfganga Amadeusza Mozarta, który mieszkał we Lwowie.

Sztuki pianistycznej uczyła mnie także moja matka, która choć nie była zawodową pianistką, to jednak bardzo dobrze grała. Uczyla się ona gry u Karola Mikulęgo, ówczesnego dyrektora Konserwatorium Lwowskiego, a ten zaś był uczniem Fryderyka Chopina. Moim nauczycielem był również Teodor Pollak, uczeń wspomnianego przeze mnie przed chwilą M. Rosenthala.

W Wiedniu uczyłem się również u Emila von Sautera, ucznia Franciszka Listy. Jak więc widzicie, galeria moich mistrzów sięga swymi korzeniami aż do Mozarta oraz Chopina i Listy.

**R. — Co Pan czynił po studiach?**

**S.A. —** Trochę koncertowałem. Pierwsze koncerty miałem w Warszawie w 1920 roku. Filharmonia Warszawska kierował

Jeśli nie, to kogo z uczestników stawiał Pan najwyżej?

**S.A. —** Tego nie można mówić, nie mogę zdradzić tajemnicy.

**R. —** „Ale to było już dawno i nasza rozmowa Polliniemu ani nie zaszkodzi, ani nie pomoże.”

**S.A. —** To... zdradzę Wam te tajemnice. Pollini był u mnie na drugim miejscu. Ja pierwsze miejsce dawałem Blochowi, który ostatecznie uplasował się na dość odległej pozycji, ale otrzymał nagrodę od Artura Rubinsteina. Mój faworyt bardzo mi się podobał — czuł muzykę głębiej i był bogatszy wewnętrznie.

**R. — Paderewski mówił o pianistyce wypowiedział następujący pogląd: „Rad bym światu całemu powiedzieć, że każdy pianista powinien grać Bacha. Bez studiowania Bacha nie można zostać pianistą.”**

**S.A. —** Wydaje mi się, że jest to prawda. Polifonie grać na fortepianie jest bardzo trudno, ale jest ona bardzo ważna. Na muzyce Bacha człowiek może się tego nauczyć. Mnie muzyka Bacha bardzo się podoba. Ogromnie lubię grać tę muzykę.

**R. — Co sądzi Pan o konkursach muzycznych?**

**S.A. —** Ranga i znaczenie ich jest dziś duże. Ja — mówię to szczerze — nie lubię konkursów, gdyż decyzje zapadają tam arbitralnie. Zależy to wszystko od smaku estetycznego jurorów. Zasiadałem swego czasu w jury konkursu pianistycznego w Brukseli. Uczestniczył w tym konkursie młody Brazylijczyk Nelson Freyre. Był on zaprzyjaźniony z Martha Argerich, która nie uczestniczyła w tym konkursie, ale przebywała w tym czasie w Brukseli. Ten 18-letni wówczas Brazylijczyk, trzy lata bezpośrednio przed udziałem w konkursie pozostawał bez opieki stałego pedagoga. Wyodrębnił się on podczas eliminacji niezłą techniką, dużym talentem i... smakiem nocnej kawiarni. Nie wiadomo bliżej co w tym czasie robił i w jakich kregach artystyczno-towarzystkich przebywał. Na konkursie wypadł po pierwszej eliminacji. Dla niego i jego rodziny była to wielka tragedia, bowiem rodzice (dobrze sytuowani) użyczyli wszelkich możliwych wpływów i środków, aby mógł on uczestniczyć w konkursie w Brukseli... Ten młody człowiek miał wokół siebie wielu znaczących mecenasów, którzy już wstępnie konkursu wrzobili mu powrót do kraju z palmą pierwszeństwa. Rozczarowanie więc było ogromne.

Następnego dnia, z tym młodym człowiekiem, uczestnikiem zaledwie pierwszego etapu przyszła do mnie Martha Argerich, aby dowiedzieć się dlaczego odpadł on już w pierwszym etapie. Wówczas poprosiłem, aby zasiadł do fortepianu i zagrał te same utwory co wykonywał w I etapie. Wykazałem wtedy i omówiłem wszystkie jego błędy. Grał on zbyt ordynarnie. Szesć tygodni później ten sam młody człowiek pojechał na konkurs do Brukseli i zdobył tam I nagrodę.

W styczniu 1984 r. mam zaplanowany wspólny koncert właśnie z Martha Argerich i zdobywcą I nagrody na konkursie pianistycznym w Lizbonie.

**R. — Jak ocenia Pan sztukę pianistyczną K. Zimmermanna?**

**S.A. —** Znam Zimmermanna osobiście. Przychodził często na moje koncerty. Ja nie byłem na jego koncercie, ale słyszałem jego grę w zachodnioeuropejskiej telewizji. Muzykę Chopina gra przepięknie.

**R. — Jakie wspomnienia łączy Pan z Łodzią?**

**S.A. —** W Łodzi bywałem kilkakrotnie, ale to było przed wojną. Po drugiej wojnie światowej — niestety — nie byłem w Łodzi. Miasto to bardzo mi się kiedyś podobało, uważałem je za niezwykle ciekawe.

**R. — Jak się dowiedzieliśmy, bezpośrednio po zakończeniu festiwalu wyjeżdża Pan z powrotem do Brukseli. Czy i kiedy zamierza Pan przyjechać ponownie do Polski?**

**S.A. —** Przybywam jesienią i daję koncert w Warszawie i Krakowie.

**R. — Dziękujemy za interesującą rozmowę i oczekujemy na Pana ponownie w kraju.**

**P.S.** Rozmowa powyższa nie jest autoryzowana. Autorzy zapisu uprzejmie dziękują Panu Wojciechowi Dzeduszyckiemu z Wrocławia za życzliwą pomoc w nawiązaniu kontaktu z artystą.

## Optymizm pomaga żyć i tworzyć

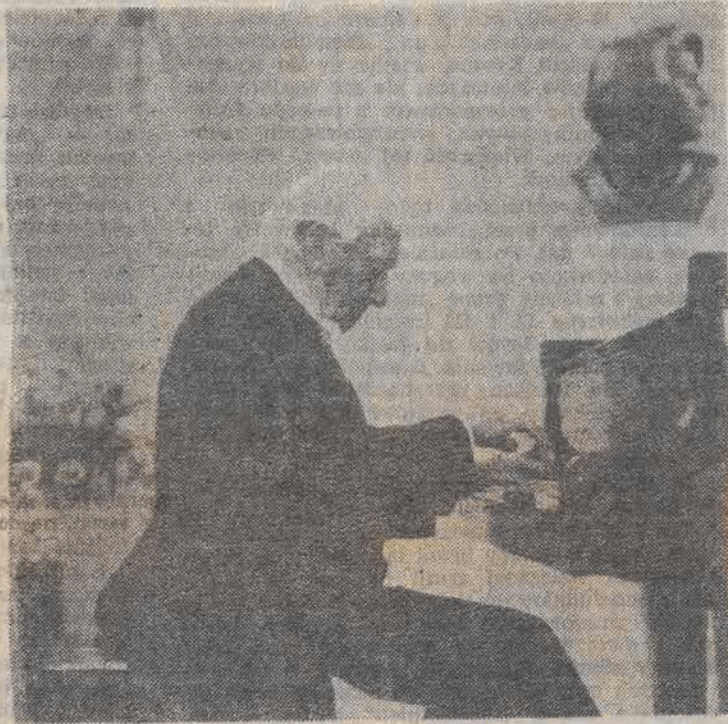


Foto: Marek Grotowski

plomata ciągnął dalej: „...np. taki koncert fortepianowy Griega — ileż to jest kawalek”. Na to ja odrzekłem, aby weszła przeczka wywód, że koncert Griega składa się zaledwie z 2 „kawalek”, ale dla Paderewskiego jest to dopiero jeden „kawalek”.

**R. — Jakie wspomnienia łączy Pana z Karolem Szymanowskim?**

**S.A. —** Osobiście znaliśmy się obydwoj doskonale. Poznaliśmy nastąpiło na terenie muzycznym. Wykonywałem jego cztery mazurki na jednym z swych koncertów w Warszawie. Po występach kompozytor przyszedł do mnie z podziękowaniami, a później wspólnie udaliśmy się do mojej siostry na przyjęcie. Potem spotkałm się przypadkowo, podczas moich koncertów w Amsterdamie. On także miał tam swoje koncerty (grał symfonie koncertując). Korzystając ze wspólnego wolnego czasu, poszliśmy do tamtejszego Wielkiego Muzeum Szymanowski poznawał tam wszystkie obrazy, jakie widzieliśmy mimo, że był tam — podobnie jak ja — po raz pierwszy w życiu. Szymanowski miał w tym czasie jeszcze kilka koncertów w Liege, po czym zatrzymał się na kilka dni w Brukseli u swego kuzyna Jarosława Iwaszkiewicza, z którym ja byłem w bliskiej przyjaźni. Szymanowski lubił grać w w brydża. Spotykaliśmy się więc często na brydżu, z tym, że był to raczej brydż muzyczny niż „karciany”. Szymanowski z uznaniem i podziwem mówił wówczas o Albanie Bergu i jego twórczości muzycznej.

**R. — Kto był Pana mistrzem pedagogicznym?**

**S.A. —** Miałem trzech mistrzów, a właściwie trzech i pół. Moją pierwszą nauczycielką była pani urodzona w 1815 roku, czyli o 5 lat młodsza od Chopina. Uczyla ona we Lwowie gry na fortepianie. Ponieważ w

wówczas Zdzisław Aleksander Birnbaum, a po jego samobójczej śmierci kierownictwo tej placówki artystycznej przejął Artur Rodziński. Byłem pierwszym solistą, z którym Artur Rodziński wystąpił tam jako dyrygent. Następnie otrzymałem stanowisko profesora Konserwatorium w Kairze; była to w zasadzie prywatna szkoła muzyczna. Po trzech latach pobytu tamże, w 1925 roku przeniosłem się na stałe do Brukseli, gdzie przez 40 lat byłem profesorem Królewskiego Konserwatorium.

**R. — Jak Pan przygotowuje swój repertuar?**

**S.A. —** Właściwie to gram tylko tę muzykę, którą lubię. Prawie nigdy nie grałem 5 koncertu fortepianowego Ludwiga van Beethovena. Nie oznacza to, że tej muzyki nie lubię. Nie potrafię nawiązać kontaktu z tym konkretnym utworem, nie czuję tej muzyki tak, jak to sobie wyobrażam.

Będąc młodym, za najpiękniejszą na świecie utwór uważałem fantazję fort. C-dur R. Schumann. Dziś nie starcza mi cierpliwości, aby ten utwór wykonywać. Gust i upodobania, także muzyczne, zmieniają się z wiekiem. W młodym wieku człowiek lubi utwory heroiczne, liryczne; lubi wirtuozerie. Potem — w wieku dojrzałym — wartość muzyki mierzy się jej głębią. Efekty zewnętrzne stają się mniej ważne i są zdecydowanie na bardzo odległym planie. Na stare lata lubi się całkiem coś innego. Liczy się wtedy muzyka pogodna, świetna jakościowo, posiadająca znakomitą fakturę i bez pretensji. Gram więc teraz bardzo dużo muzyki Bacha, a także Scarlattiego, Haydna i Mozarta.

**R. — W 1960 r. był Pan jednym z jurorów VII Konkursu Chopinowskiego. Pierwszą nagrodę na tym konkursie zdobył Maurizio Pollini. Czy był on także i Pana faworytem? —**

# Conrad w Marsylii

JAN KOPROWSKI

Zaledwie w odstępie paromiesięcznych ukazały się dwie powieści o Józefie Conradzie: Leszka Proroka „Smuga blasku” i Wacława Bilińskiego „Sprawa w Marsylii”. Pierwsza opowiada historię wyprawy na statku „Otago” już w służbie angielskiej, druga — dotyczy okresu o dziesięć lat wcześniejszego, kiedy młodziutki, bo dopiero dwudziestoletni Conrad, po wyjeździe z Krakowa, szuka szczęścia na statkach francuskich. Powiedzieliśmy na początku, że są to powieści o Conradzie, ale gdy chodzi o utwór Bilińskiego zaważaliśmy się, czy odpowiada to w pełni rzeczywistości. „Sprawa w Marsylii” jest bowiem bardziej powieścią o wuju Tadeusza Bobrowskim, niż o przyszłym pisarzu, choć — oczywiście Conrad w niej występuje i stanowi istotny obiekt autorskiego zainteresowania. Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jeśli portret wuja Bobrowskiego jest pełny i wyrazisty, to portret jego siostrzeńca, Konrada Korzeniowskiego, jakby się rozplywał w mgłę, traci kontury i nie rysuje się w naszej wyobraźni wystarczająco plastycznie. Może bierze się to stąd, że 51-letni wuj Bobrowski był już człowiekiem dojrzałym, całkowicie uformowanym jako charakter i osobowość, podczas gdy Conrad to jeszcze młodzieniec, który wiedział wprawdzie, czego chce, ale nie bardzo był świadomy wyboru drogi i środków do niej prowadzących. Nie widział swojej przyszłości w niewolnej ojczyźnie i na propozycje powrotu ze strony wuja odpowiadał odmownie, twierdząc uparcie, że marzeniem jego jest pływanie po morzach, natomiast jak miał swój zamiar przeprowadzić — sam nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę. Można rzec, że okres marsylski, był w jego życiu okresem przełomowym. Wyrzucił się młodzieńczych złudzeń i trzeźwiej, i sceptycznie zaczął oceniać świat i ludzi.

Powieść Wacława Bilińskiego zaczyna się w momencie, gdy wuj Bobrowski zaalarmowany depezą, że jego siostrzeniec został ranny, wybiera się z dalekiej Ukrainy w podróż do Marsylii, gdzie pozostanie dwa tygodnie w marcu 1878 roku. O całej tej „sprawie marsylskiej” Konrada — wiemy niewiele i, w dodatku, nie pewnego. Tadeusz Bobrowski w liście do Stefana Buszczyńskiego pisze, że Conrad wdał się „w jakąś afery na brzegach Hiszpanii”, stracił pokątną sumę pieniędzy, zaciągnął pożyczkę i próbował szczęścia w Monte Carlo. Ale mu się nie powiodło: przegrał wszystko. Zrezygnowany i załamany zaprasza do siebie przyjaciela na herbatkę i strzałem z pistoletu „stara się życie sobie odebrać”. Inna wersja głosi, że został postrelony w pojeźdźku. Widzimy więc, że informacje są sprzeczne i niedokładne. Wcale się nie dziwię, że Wacław Biliński sięgnął po ten właśnie epizod z życia przyszłego pisarza. Tam, gdzie wszystko jasne i do końca wiadome, wyobraźnia pisarska niewiele ma do roboty. Pisarz wchodzi na tereny niezbadane, aby wypełnić lukę, których nie jest w stanie dać nam żadna dokumentacja, bo jej po prostu nie ma. Tak tedy dwa tygodnie pobytu wuja Bobrowskiego w Marsylii i próba wyświeślenia zagadki — to temat powieści Bilińskiego. Naturalnie autor nie ogranicza się jedynie do opisu przeżyć wuja i jego podopiecznego w ciągu tych dwóch tygodni. Liczne partie retrospektywne pozwalają mu sięgnąć w przeszłość, dzięki czemu dowiadujemy się sporo o rodzicach Konrada, matce Ewelinie Bobrowskiej i ojcu Apollu Należ-Korzeniowskim, a także o pracach samego wuja — opiekuna i dobrodzieja młodego siostrzeńca. Tadeusz Bobrowski, organicznik i pozytywista, wróg powstań i werydyk rabijacy wszystkim prawdę prosto w oczy, był postacią barwną i taki wuj nam się na stronach powieści Bilińskiego. Barwną i tragiczną. Na stronie 120 powieści przeczytamy: „Zostałem stworzony, myśli Bobrowski, by grzebać najbliższych, zamartwiać się, placić dług. Same troski. Takie moje przeznaczenie”. Pochował rodziców Konrada (Ewelina w 1865, Apoll w 1869 r.), żonę Józefinę, z którą pożyłcie trwał zaledwie dziesięć miesięcy, wreszcie córeczkę, która zmarła w wieku lat dwunastu, ku nieopisanemu zmartwieniu osamotnionego męża i ojca. Nie ożenił się powiornie, poświęcając życie swoje pracy w komitetach wiośniarskich na Kijowszczyźnie. Zmarł 10 lutego 1894 roku w Kazimierówce, pozostawiając siostrzeńcowi w spadku 15 tysięcy rubli.

Powieść Bilińskiego czyta się z niesłabnącym zaciekawieniem. W każdym razie piszący te słowa „polknął” je w ciągu jednego wieczoru, zarywając trochę nocy. Czy dlatego, że to powieść o Conradzie, którym także interesuje się od dawna? Czy z takim samym zajęciem czyta ją będą inni, dla których życie Conrada nie jest obiektem fascynacji? Myślę, że tak, albowiem Biliński potrafi konstruować fabułę i nie odstrasza czytelnika pogonią za dziwactwami i eksperymentami wątpliwej proveniencji. Biliński wykorzystuje nowoczesne osiągnięcia prozy polskiej i światowej, ale nie popada w skrajności: nie plaże chronologii wydarzeń, nie nadużywa monologu wewnętrznego, nie burzy klasycznej składni języka. Co nie oznacza, że jest konserwatywnym tradycjonalistą. Umie zachować umiar i chwali mu za to.

Pobyt w Marsylii, gdzie Tadeusz Bobrowski spotyka wielu Polaków-emigrantów, posłuży mu do snucia spostrzeżeń o przymiotach i wadach rodaków. W rozmowie z Wilkowskim zapyta obcesowo: „Dlaczego Polak na obczyźnie umie talentami błysnąć? A w kraju ani ładu, ani składu. Ha?”. O szlachetnie ma Bobrowski opinię nieodmiennie krytyczną. Do tego samego Wilkowskiego powie: „...Brać szlachetka, nawet jeśli serca poczciwe, to głowy słabe, pracowitości mało, strach wielki i bezwładniacy”. A więc powieść Bilińskiego „Sprawa w Marsylii” jest powieścią nie tylko o wuju Bobrowskim, jego siostrzeńcu Konradzie, o spotkanych emigrantach i cudzoziemcach. Jest także powieścią o nas, Polakach, wczoraj i dziś. W tym jej dodatkowy walor i atrakcyjność czytelnicza. Ale o parę drobniostek miałbym się ochotę z autorem posprać. Na stronach powieści pada niezadko słowo „dziwka” w dzisiejszym znaczeniu. Otóż wówczas, w 1878 roku, nie było ono jeszcze używane jak proponuje autor. Dziwka, a głównie dziewczka to była po prostu dziewczyna. Błędem jest także użycie przymiotnika „zuryski”. Od dawna pisze się w polszczyźnie „zurycki”. Jest też kilka błędów korektorskich, o co autora winić chyba nie należy. Najprzykrejszy z nich to nazwanie wuja Poradowskiego, w Brukseli — Poradeckim. Ale to są drobniostki, nie wające na całość. Powtarzam: Wacław Biliński napisał bardzo cenną powieść, myślę, że najlepszą w jego dotychczasowej twórczości.

Wacław Biliński: „Sprawa w Marsylii”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1983, stron 223, cena zł 150,—

Rozmawiali:  
MARIAN  
STRZELECKI  
JACEK  
WOLAŃSKI

**N**ieprawdopodobne to i żenujące, ale nasze społeczeństwo — nawet pamiętające czasy przedwojenne — mało albo nic nie wie o istnieniu w okresie międzywojennym szkoły wojskowej, kształcącej młodocianych chłopców na wysoko kwalifikowanych lotników, którzy mając lat siedemnaście, osiemnaście i dziewiętnaście doskonale spisywali się w boju, dorównując poświęceniem i heroizmem w walce starszym swoim kolegom-lotnikom. Z niedowierzaniem i ironicznym uśmiechem słuchano opowieści wojennych tych chłopców, twierdząc, że opowiadają „baśnie z tysiąca i jednej nocy”, bo „coż tacy smarkacze — zdaniem „wygów” wojskowych „mogli zdzielać w wojnie, a tym bardziej w lotnictwie?” Oni jednak naprawdę byli wartościowymi żołnierzami, którzy w poczuciu głębokiego patriotyzmu i obowiązku wobec Ojczyzny oraz nieodpartej woli walki, bronili Jej z honorem, walcząc o Jej niepodległość, oddając w ofierze nawet swoje młode życie.

W pierwszym dziesięcioleciu okresu międzywojennego lotniczą kadra podoficerską stanowili przeważnie weterani pierwszej wojny światowej, którzy byli ludźmi zasłużonymi, ale i wysłużonymi, a coraz nowocześniejsze samoloty oraz dynamiczny rozwój lotnictwa, wymagały rozbudowania, a przede wszystkim odnowienia kadry podoficerów lotnictwa. Potrzebni byli ludzie młodzi, odważni, ofiarni i sumienni, ludzie o niezwykłych walorach charakteru, a nade wszystko wysoko kwalifikowani żołnierze, gruntownie przygotowani do jakże pięknej, lecz trudnej i niebezpiecznej oraz odpowiedzialnej służby w lotnictwie. Organizowane dotychczas w tym celu kursy w pułkach lotniczych okazały się niewystarczające i nie nadążały za potrzebami rozwijającego się lotnictwa polskiego. Przypomnieć należy, że wówczas werbowano do wojska mężczyzn w wieku 21 lat, uważając ten wiek za pełnoletność.

Nabrzmiewający problem uzupełnienia i odnowienia kadry podoficerów lotnictwa rozwiązało Ministerstwo Spraw Wojskowych, rozkazem nr L. 8635/30, z dnia 7 sierpnia 1930 roku, powołując do działania Szkołę Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich w Bydgoszczy, której zadaniem było wykształcenie na trzyletnich kursach, młodocianych chłopców na wykwalifikowanych podoficerów lotnictwa, w następujących specjalnościach: mechaników samolotowych, mechaników silnikowych oraz pilotów.

Dzięki doskonałemu doborowi kadry dowódców, wychowawców i instruktorów wyselekcjonowanych w pułkach lotniczych z doświadczonych i najlepszych oficerów oraz podoficerów, zapewniono uczniom SPLdM wykształcenie wojskowe i lotnicze na najwyższym poziomie. Na wykładowców przedmiotów ogólnokształcących zaangażowano doświadczonych nauczycieli z wieloletnim stażem pracy, z bydgoskich szkół średnich — przeważnie oficerów rezerwy — szkolących przyszłych lotników według programu szkół średnich do tzw. małej matury.

Warunkiem przyjęcia do Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich było ukończenie szesnastego, a nieprzekroczenie osiemnastego roku życia oraz złożenie odpowiednich dokumentów, a przede wszystkim świadectwa ukończenia siedmiu klas szkoły powszechnej oraz świadectwa o doskonałym stanie zdrowia, wystawionego przez najbliższy wojskowy szpital okręgowy. Ale te dokumenty wystarczały tylko do roku 1935, w pierwszych latach istnienia szkoły. Kandydaci ubiegający się o przyjęcie do szkoły od 1935 roku, przechodzili skrupulatne badania lekarskie w Centrum Badań Lekarskich Lotnictwa, tzw. „Cebuli” w Warszawie, które z tysięcy chłopców zaledwie kilkuset zakwalifikowało, jako zdolnych do służby w powietrzu i w lotnictwie. Z tych kilkuset kandydatów tylko nieliczni zdawali dwudniowe egzaminy konkursowe — pisemne i ustne — z języka polskiego, matematyki i geometrii, historii, geografii i fizyki oraz egzaminy sprawności fizycznej w różnych konkurencjach sportowych. Do szkoły przyjmowano tylko kandydatów z najlepszymi wynikami egzaminów.

Już w październiku 1930 r. po egzaminach wstępnych sformowano pierwszą eskadrę szkolną, dowodzoną przez kpt. obs. Adama Juliusza Zaleskiego, mianowanego w 1933 roku komendantem Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich w Bydgoszczy, który pozostał na tym stanowisku najpierw w stopniu majora, a później podpułkownika, do września 1939 roku. Pierwsi absolwenci opuścili szkołę w 1933 roku. Skierowano ich do pułków lotniczych, gdzie pełnili służbę zawodową. Tam wykazali się doskonałym wykształceniem, nieprzeciętnymi zdolnościami i kwalifikacjami oraz sumienną służbą i pracą, zyskując sobie uznanie i bardzo dobrą opinię przełożonych i dowódców pułków lotniczych. W następnych latach dowódcy pułków domagali się absolwentów SPLdM. Ukoronowaniem nadspodziewanych osiągnięć pierwszych absolwentów szkoły było powołanie grupy absolwentów SPLdM — w połowie 1935 roku — na stanowiska instruktorów w szkole, którą ukończyli przed kilku laty.

Z każdym rokiem wzrastała liczba kandydatów do SPLdM w Bydgoszczy. O ile w pierwszych latach istnienia szkoły nie przekraczała kilkuset chłopców, to już w 1935 roku liczba młodzieńców ubiegających się o przyjęcie do szkoły rosła w tysiące kandydatów. W okresie międzywojennym zainteresowanie lotnictwem wśród młodzieży było tak wielkie, że chłopcy porzucali naukę w gimnazjach, średnich szkołach zawodowych, szkołach wydziałowych i handlowych, aby tylko dostać się do Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich. Przełomowym dla szkoły był rok 1936, gdy komenda szkoły i „Cebula” — pragnąc wyłowić z wielotysięcznej rzeszy młodzieńców tylko najzdrowszych, najzdolniejszych i najlepszych — stawiała kandydatom coraz większe wymagania. Wskutek wprowadzania na wyposażenie pułków lotniczych samolotów z wieloosobowymi załogami, takich, jak: „Karasi” (PZL-23) i „Łosi” (PZL-37), trzeba było zmienić program i rozpocząć szkolenie uczniów w nowych specjalnościach lotniczych. Odtąd SPLdM szkolił: pilotów, strzelców pokładowych, strzelców-radiotelegrafistów, mechaników płatowcowych, mechaników silnikowych oraz radio- i elektro-mechaników. Poza tym uczniowie — zwani popularnie „małoletnimi” lub „małoletniakami” — odbywali praktykę i specjalizowali się we własnej szkole, a nie — jak dotychczas — w pułkach lotniczych, po ukończeniu szkoły. Tak

# „Małoletni”

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

już pozostało do września 1939 roku, do wybuchu wojny.

Szkoła podzielona była na trzy roczniki, stanowiące dywizyjny szkolny. Każdy liczył około trzystu uczniów w dwóch eskadrach. Pierwsza eskadra zawsze skupiała pilotów, strzelców pokładowych i strzelców-radiotelegrafistów, zaś w drugiej eskadrze byli uczniowie o specjalnościach technicznych. Poziom nauki w szkole był bardzo wysoki. Stopień niedostateczny z jakiegokolwiek przedmiotu dyskwalifikował ucznia z dalszego szkolenia, powodując wydalenie go z SPLdM. Szczególnie trudnym dla „małoletnich” był pierwszy rocznik szkolny, obejmujący poza przedmiotami ogólnokształcącymi i historią lotnictwa, pełne wykształcenie bojowe żołnierzy piechoty, co porządnie dawało się we znaki chłopcom szesnastoletnim, dla których nie było taryfy ulgowej i traktowano ich, jak dorosłych żołnierzy, a nie raz i surowiej. Należy przy tym pamiętać, że dyscyplina wojskowa w owych czasach była bardzo surowa. Toteż wielu uczniów nie mogąc sprostać w nauce i nie wytrzymując trudów twardego życia żołnierskiego, odchodziła z tego rocznika, rezygnując z dalszej nauki w SPLdM. Pozostali tylko najbardziej odporni i zahartowani.

Właśnie w tych surowych warunkach służby uczniowie poznawali się wzajemnie, rodziło się koleżeństwo, przyjaźń, a nawet braterstwo, które cementowało młodych chłopców na zawsze. Pomagali sobie w nauce, na placu ćwiczeń, w hangarach i na lotnisku. Przechodząc twardą szkołę życia, hartowali swoje charaktery i potrafili zrozumieć niedolę innych. Wspaniali dowódcy i wychowawcy wpajali młodym uczniom patriotyzm, sumiennosc i obowiązkowość w nauce, pracy i służbie oraz wytrwałość i umiejętność przetrwania największych nawet trudności. Szlifowali charaktery chłopców, wychowując ich na pełnowartościowych żołnierzy i obywateli.

Dynamiczny rozwój szkoły sprawił, że budynki lotnicza bydgoskiego stawały się zbyt ciasne i nie mieściły już wszystkich uczniów. Dlatego w roku 1937 przeniesiono pierwszy rocznik do Świecia nad Wisłą, a jesienią następnego roku całą szkołę przeniesiono na nowo wybudowane lotnisko w Krośnie nad Wisłokiem.

Przed końcem sierpnia roku 1939, eskadra techniczna III rocznika pobrała z magazynu łopaty polowe, aby w ramach ćwiczeń wykopywać rowy przeciwodłamkowe, tuż za budynkami koszarowymi. Starannie maskowali je darnią, nie przypuszczając wtedy jeszcze, że za kilka dni rowy te uratują życie niejednemu „małoletniakowi”.

W pogodny, słoneczny piątek — 1 września 1939 roku — o godzinie 6.05 rano — lotnisko krośnieńskie zaskoczyły zleniacka i zaatakowały z lotu koszącego bombowce hitlerowskiej Luftwaffe — Dornieri Do-17 — okładając bombami lotnisko i jego zabudowania oraz ostrzelując z broni pokładowej „małoletnich” uciekających do rowów przeciwodłamkowych, bądź już w tych rowach przebywających. Chłopcy bronili się zaciekle przed hitlerowskim atakiem, strzelając do nisko przelatujących samolotów z karabinów ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych, ustawionych na dachach budynków koszarowych. Obsługiwali również dwa działa przeciwlotnicze kalibru 40 mm. Po pierwszym nalocie niemieckim zabitych i rannych było niewielu, ale udało się Niemcom zniszczyć dwa hangary, w których spłonęło siedemdziesiąt pięć samolotów, przeważnie RWD-8, „Karasi”, potezów i pewesów. W pierwszym dniu wojny „małoletni” przeżyli w Krośnie cztery naloty niemieckich bombowców, zestrzelując dwie maszyny napastnika.

W pobliżu Moderówce, zapasowym lotnisku Krosna, najmłodszy uczniowie-piloci kończyli podstawowe szkolenie na samolotach RWD-8. Należy odnotować niewątpliwą sukces w działaniach lotnictwa polskiego, uzyskany dzięki ofiarności instruktorów SPLdM — wyszkolenie pilotów w ciągu jednego miesiąca! Wielu z siedemnaścieletnich adeptów sztuki latania zdążyło

wylądować się na pilotów niemalże w przeddzień wojny. W pierwszym dniu wojny rano, jednocześnie z bombardowaniem Krosna, niemieckie bombowce zaatakowały Moderówkę. Mimo że krótko przed nalotem odwołano gimnastykę poranną, ogłoszono alarm przeciwlotniczy i schroniono się do rowów przeciwodłamkowych, straty były bardzo dotkliwe. Wśród wielu zabitych i rannych byli instruktorzy, uczniowie i żołnierze obsługi samolotów. Zniszczono również kilka samolotów szkolnych. Pozostających przy życiu ewakuowano transportem kolejowym na wschód kraju, w nadziei dalszego szkolenia. Wielu z nich przedostało się na zachód Europy, gdzie ukończyli szkolenie i włączyli się do walki z Niemcami.

I eskadra (pilotów i strzelców) III rocznika, miała rozpocząć szkolenie i specjalizację lotniczą w dniu 1 września, lecz wybuch wojny nie pozwolił na kontynuowanie nauki. Po nalotach na lotnisko krośnieńskie ewakuowano eskadrę do pobliskiej wioski, gdzie w obecności komendanta szkoły: ppłk. obs. Adama Zaleskiego uczniowie złożyli żołnierską przysięgę, w trybie przyspieszonym. Następnie załadowano ich na transport kolejowy, udający się w kierunku Kresów Wschodnich. Transport bez przerwy był bombardowany przez niemiecką Luftwaffe i rozbity na małe grupy, które postanowiono ewakuować na Węgry i do Rumunii, w zależności od miejsca pobytu danej grupy. Prawie wszyscy chłopcy ukończyli wykształcenie poza granicami kraju, aby podjąć walkę z wrogiem, a mieli dopiero po osiemnaście lat!

Natomiast przebywający jeszcze w Krośnie absolwenci rocznika 1936 — piloci liniowi (chłopcy 19-letni), którzy dopiero co ukończyli szkolenie na „karasiach”, po zbombardowaniu lotniska opuścili Krosno, udając się do wyznaczonych pułków lotniczych, ale nie wszyscy dotarli do miejsc przeznaczenia z powodu trudności komunikacyjnych, spowodowanych chaosem wojennym. Większość tej grupy ewakuowano do Rumunii.

Lotnisko krośnieńskie było atakowane i bombardowane przez niemiecką Luftwaffe jeszcze cztery dni. Po ostatnich nalotach 5 września, załadowano na wagony uratowany sprzęt lotniczy i ostatnią grupę „małoletnich” — eskadry techniczne II i III rocznika — kierując transport przez Łwów do Łucka. Mimo nieustannego bombardowania transportu w drodze, dobrnął do miejsca przeznaczenia bez strat. Obydwie eskadry po rozładowaniu transportu zakwaterowano w koszarach 24 pułku piechoty w Łucku.

Najtragicznijszym dniem dla „małoletnich” w Łucku, była niedziela 10 września. W koszarach 24 p.p. zgromadzono poza „małoletnimi” dużą liczbę żołnierzy broni lotowej, będących odwodami walczącej armii polskiej. W godzinach popołudniowych bombowce Luftwaffe dokonały zmasowanego ataku na koszary, lotnisko i dworzec. Bomby niemieckie zniszczyły koszary niemal doszczętnie, a straty w zabitych i rannych były olbrzymie. Po nalotach pozostali uczniowie eskadr „małoletnich” wymaszerowali w kierunku Kiwerc, a stamtąd dalej — maszerując nocą, a śpiąc w dzień — przemierzali bezkresne lasy wołyńskie i bagna polskie, stacjonując często potyczki z dywersantami ukraińskimi, aż do chwili dostania się do niewoli, w dniu 1 października. Wielu tych siedemnaście- i osiemnaścieletnich chłopców załaziło hitlerowskie obozy jenieckie w III Rzeszy, pracując w kamieniołomach lub przy wyrębie lasów albo wykonując inne ciężkie prace przez niemal pięć lat, do zakończenia wojny. Jednostkom udało się zbiec z niewoli.

Gdy absolwenci i uczniowie Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich przebywający w Krośnie i Moderówce — w pierwszych dniach wojny — przeżywali gorzkie klęski, starsi ich koleży, absolwenci poprzednich roczników szkoły, zaciekle walczyli z najeźdźcą hitlerowskim, niemal we wszystkich jednostkach lotniczych, zadając nieprzyjacielowi dotkliwe ciosy. Jedni zmagali się w walkach powietrznych z lepiej uzbrojonym i licznie sil-

niejszym wrogiem, posiadającym nowocześniejsze i szybsze samoloty, dokonując niewiarygodnych wyczynów, ponosili dotkliwe straty w zabitych, rannych i zniszczonym sprzęcie lotniczym. W samej tylko Brygadzie Pościgowej na osiemdziesięciu wybranych, doświadczonych pilotów, walczyło aż dwudziestu trzech absolwentów SPLdM, w tym szesnastu, którzy ukończyli szkołę w przeddzień wybuchu wojny, a wśród nich pięciu dziewiętnastoletków, starsi szeregowcy-piloci: Piotr Gallus, Leon Nowak, Henryk Szope, Zygmunt Rozworski i Jerzy Stanisław Zieliński. Według opinii ich dowódców, wspaniale spisywali się w walce i zdali egzamin doskonałych pilotów bojowych. Kilku z nich zginęło w boju lub odniosło rany, ale pozostali, po 17 września przestali się do Rumunii, a stamtąd do Francji i Anglii, gdzie kontynuowali walkę z hitlerowską Luftwaffe. Inni latali w załogach „Karasi” i „Łosi”, jako piloci, strzelcy pokładowi, strzelcy-radiotelegrafisci, desperacko atakując i okładając bombami niemieckie kolumny pancernie i transportowe, stanowiska artylerii nieprzyjaciela oraz maszerujące oddziały hitlerowskie. Wielu z nich zginęło i było rannych, ale wielu z nich wkrótce znalazło się na Zachodzie, gdzie byli początkiem personelu latającego polskich dywizjonów bombowych. Jeszcze inni latali w charakterze pilotów łącznikowych, na nie uzbrojonych samolotach szkolnych i sportowych, dokonując wprost nieprawdopodobnych czynów. Ich skromne bohaterstwo było nieporównywalne z żadną akcją bojową innych rodzajów lotnictwa. Mechanicy-absolwenci szkoły, pracując w prymitywnych warunkach polowych, dwóli się i troli; naprawiając uszkodzone w walce samoloty, aby jak najszybciej przywrócić im gotowość bojową. I oni ginęli od hitlerowskich bomb lotniczych, odnosił rany podczas bombardowań lotnisk i placówek warsztatowych.

W latach 1930-1939 Szkoła Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich wyszkoliła tysiąc osiemiu absolwentów w różnych specjalnościach lotniczych i częściowo wyszkoliła pięćset trzydziestu sześciu uczniów, którzy w kraju szkoły nie ukończyli. Znamiennym było, że w Polskich Siłach Powietrznych, w Wielkiej Brytanii, podczas II wojny światowej, walczyło aż siedemset pięćdziesięciu trzech „małoletnich” wszystkich roczników, z czego prawie połowę — trzystu dwudziestu dziewięciu lotników — stanowili uczniowie najmłodszych roczników: 1937 i 1938, a więc chłopcy siedemnaście- i osiemnaścieletni.

Dopiero na obcej ziemi — w Wielkiej Brytanii — „małoletni” mogli rozwinąć skrzydła swoich umiejętności i zdolności oraz wykorzystać zasób wiedzy zdobytej w szkole. Budzili podziw brytyjskich przełożonych łatwością opanowania nawet najnowocześniejszego sprzętu lotniczego i całkiem odmienną taktyką walki, jak i świetnym wykształceniem. Uzupełnili personel latający polskich i brytyjskich dywizjonów myśliwskich, stającąc heroiczne walki powietrzne z przeciwnikiem, biorąc udział w słynnej Bitwie o Brytanie, latali w osłonie dziennej bombowców alianckich w wyprawach nad Niemcy, osłaniali konwoje morskie, walczyli w powietrzu z bombami latającymi V-1, niszcząc również ich wyrzutnie na ziemi, niszczyli transport drogowy i kolejowy w Niemczech i okupowanych przez Niemców krajach. W czerwcu 1944 roku osłaniali alianckie wojska inwazyjne, lądujące w Normandii.

Latowali również w polskich dywizjonach bombowych, jako piloci, mechanicy i strzelcy pokładowi oraz strzelcy-radiotelegrafisci, biorąc udział we wszystkich nocnych wyprawach alianckich na bombardowanie celów w III Rzeszy, we Włoszech, Belgii, Holandii i Francji, niewieleży przemyśli niemieckiej, lotniska i porty wroga, węzły komunikacyjne, przeorywując bombami miasta niemieckie, zapuszczając się aż do Berlina i dalej. Minowali wybrzeża i porty nieprzyjaciela, brali udział w Bitwie o Atlantyk, atakując i niszcząc U-booty i okręty Kriegsmarine. Ostrzeliwano huraganowym ogniem hitlerowskiej artylerii przeciwlotniczej, ponosili dotkliwe straty, lądując w barach własnych z zabitymi i rannymi na pokładzie samolotu. Wielu w ogóle nie powróciło z wyprawy nad cele nieprzyjaciela. Znaleźli się również w dywizjonie do zadań specjalnych, pomagającemu ruchowi oporu i partyzantce w wielu krajach Europy, a szczególnie w Polsce. Zrzucali zasobniki z bronią, amunicją, odzieżą, lekarstwami i żywnością oraz tak zwanych „cichociemnych”. Liczni ginęli w niebezpiecznych lotach nad obcą ziemią, ale i groby i nekroty są we własnej Ojczyźnie. Stoczyli wiele walk powietrznych z myśliwcami Luftwaffe, z których wychodzili zwycięsko, ale też ginęli.

Za męstwo w boju i niespotykaną odwagę, prawie wszyscy „małoletni”, latający bojowo w Polskich Siłach Powietrznych, w Wielkiej Brytanii, awansowali do stopni sierżantów, a wielu może się poszczycić stopniami chorążego, a nawet oficerskimi. Kilku „małoletnich” pełniło funkcje dowódców eskadr, a jeden był nawet dowódcą dywizjonu. Mundury ich zdobiły najwyższe odznaczenia bojowe polskie i brytyjskie. Niektórzy zostali uhonorowani najwyższym odznaczeniem bojowym: Krzyżem Orderu Virtuti Militari V kl. Większość dekorowano trzy- i czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

„Małoletni”, którym po wrześniu 1939 roku nie udało się wydostać z okupowanego kraju, pozostali, walcząc w szeregach Armii Krajowej i partyzantce. Wielu z nich ginęło w boju lub przechodziło nieludzkie tortury w kaźniach gestapo. Załadnieli obozy koncentracyjne, oddając w nich swoje młode życie. Inni, wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec, pracując w fabrykach zbrojeniowych, czynnie działali w ruchu oporu. Jak i wstępował do różnych organizacji konspiracyjnych, dokonując w gnieździe wroga sabotaży albo pracując w wywiadzie na rzecz aliantów. I tam nie obyło się bez ofiar.

Nieliczna grupa „małoletnich”, która po wrześniu 1939 roku znalazła się na terytorium Związku Radzieckiego, gdy powstawało polskie lotnictwo ludowe, zaciągnęła się w szeregi tegoż lotnictwa, przechodząc bojowy szlak aż do Berlina, a po wojnie przez długie lata służyli w lotnictwie, odchodząc na zasłużoną emeryturę w stopniach majorów i pułkowników.



Uczniowie 1938 rocznika S.P.L.d.M. w Świeciu n/Wisłą — przed defiladą 3 maja 1939 roku.

Kiedy front był tuż, tuż, Ignacy, wtedy mężczyzna jeszcze w pełni sił, ojciec dwóch dorastających synów i trzech córek, włożył na siebie co miał najlepszego, do kieszeni schował przyniesione ze strychu zawiniątko i udał się do odległego miasteczka. Cała rodzina wyszła go odprowadzić, bo czas był niespokojny, Niemcy uciekali i na drogach nie należało bez potrzeby się pokazywać. Ale pozostawiać spraw własnemu biegowi także nie należało, bo kto wie, co się stanie

cu jakby się przeredziło, tylko od czasu do czasu pędziły motocykle i jechały ciężarówki. W końcu nadszedł właściwy dzień. Ignacy ubrał się w co miał najlepszego, schował do kieszeni przyniesione ze strychu zawiniątko z rublami i poszedł. Wrócił, kiedy front był już daleko na zachodzie. W czasie swojego pobytu w miasteczku codziennie obserwował Rosjan i dziwił się, że tacy normalni, nawet częściej machorka, a jedynym pytaniem jakie zadają,

krepy ruchliwy mężczyzna, który cokolwiek robił, miało się wrażenie, że bardzo się śpieszy a wykonywana czynność go denerwuje i złości. Były to pozory, bowiem lekarz z niego był dobry i sumienny, a przy tym życzliwy dla chorych. Ignacego badał krótko. Rodzina stojąca wokół znacząco dawała sobie znać oczami, że tym razem doktor nawet ma prawo się śpieszyć. Spł — powiedział, chowając słuchawkę. — Letarg. Zrobię zastrzyk, a wieczorem przyjdę

... a moje uda po mej śmierci zapisuję najbliższej rodzinie, to jest bratankom Janowi i Aleksemu i ich dzieciom, co by wyjęli z nich kruszec platynę bo mnie umarłej na nie się już nie zda i by po sprzedaniu podzielili pieniądze po równo lub w inny sprawiedliwy sposób... — czytał mecenas wśród skupionej cisy. Zebrana rodzina zmarłej Anny B. choć spodziewała się spadku, to przecież nie takiego, raczej dolarów w przyzwoitej ilości, które mogłyby zmienić ich życie i status społeczny. A tu masz ci: uda! Uda z platyną! I to właśnie teraz, kiedy Anna B. została pochowana z należytą czcią, jaka należy się komuś, kto na starość powrócił z dalekiej Ameryki, by złożyć w ziemi ojców strudzone i wycieńczone pracą na obczyźnie kości.

Początkowo tułała się w porcie, później trafiła na plantację kukurydzy, w końcu zaczęła się na farmie mlecznej. Była pracowita, oszczędna i zapobiegliwa. Nawet nie wyszła za mąż, nie chcąc z nikim dzielić zarobionych pieniędzy. Ciągłe marzyła o powrocie, o Polsce, o rodzinnej wiosce w guberni piotrkowskiej, a potem już w województwie łódzkim. Zaraz po ustaniu działań wojennych w Europie była zdecydowana wracać natychmiast, ale ludzie życzliwi nagadali jej takich rzeczy, że przestraszyła się. Nie, wróci kiedy jej kapitał pozwoli na samodzielne życie w komunistycznym reżimie. Napisała do brata, Antoniego B. odpowiedział w obszernym liście, że żadnego reżimu nie ma, a że żyje się ciężko, to fakt. „Wiesz — pisał — wojna zabrała nam wszystko i trzeba zaczynać od początku” Anna B. posłała bratu trochę pieniędzy, potem znowu i znowu. Brat dziękował i dawał do zrozumienia, że takich przesyłek przysłałoby się więcej. A potem przyszedł ów tragiczny rok: w kraju Antoni w czasie pracy dostał się pod traktor, a w Ameryce Anna niefortunnie się pośliznęła i znalazła się w szpitalu. Z przypadkiem Antoniego uporało się w ciągu trzech dni: ksiądz odprowadził go na wieczny odpoczynek polecając jego spadkobiercom modlić się za duszę dobrego chrześcijanina i wzorowego gospodarza. Natomiast z Anną było wręcz źle: coś tam z jej kośćmi okazało się nie tak, pobyt w szpitalu się przeciągał, koszty rosły. Wówczas Anna zdecydowała się na owe niebezpieczne platynowe biodra. Gromadzone przez dziesiątki lat kapitał prawie w całości pochłonięły kosztowny zabieg. Chodzić co prawda nie chodziła jak dawniej, ale poruszała się na tyle sprawnie, że mogła wrócić na swoją farmę mleczną.

## Złote zęby dziadka Ignacego

kiedy do wsi wjadą rosyjskie czołgi.

A wszystko zaczęło się od tego, że ktoś zaczął rozpowiadać, iż Ruskie, co to idą od Marciniowa i Zawad, wcale nie są żadnymi wyzwolicicielami, a jeno grabią, gwałcą i zabijają. A najgorzej obchodzą się z tymi, którzy mają złoto. Podobnie żywcem zakopują do ziemi i całą rodzinie w tym miejscu zasadzić drzewko, by nawet śladu nie było po człowieku. Ignacy nie bardzo wierzył, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Może tak, a może i nie tak, a te dwie carskie złote dziesięciorublowki, co miał schowane na strychu, mogły spowodować na niego nieszczęście. Wiadomo — złoto każdego skusi, a tym bardziej, że jest carskie, czyli ruskie, i wojsko, co to lada dzień zjawi się w jego wiosce, to przecież także Ruskie. Nie, dobrze, bardzo niedobrze.

Na radzie rodzinnej padły różne propozycje: żona radziła zakopać w ogrodzie, ale Ignacy słyszał, że to nic nie da, bo są specjalne przyrządy, co każdą metal wykryją, choćby go zakopać nie wiem jak głęboko. Sam zamierzał ruble zanieść do lasu i wrzucić do jakiej dziupli. Było to jednak ryzykowne, bo niech ktoś takie drzewo zrabie i co wtedy? Najstarsza córka proponowała, że monety zaszyje w majtki, a tam jej nikt nie będzie zaglądać. Ignacy skoczył, obraził córkę nawet publicznym słowem. Też wymyśliła! — wołał. — Przecież pół włoski ściga za niej majtki na każdej zabawie i przy wszystkich innych okazjach, to co mówić o Ruskich? Nie, to najgorszy pomysł, jaki mógł przysześć komukolwiek do głowy. O, gdyby tak któreś z dzieciaków polknęło monety, to co innego. Tylko że powstaje niebezpieczeństwo tego rodzaju, że taki chłopak poleci gdzieś, zapomni się, kucnie w polu lub za krzakami i szuka wiatru w polu.

W końcu pomysł przyszedł sam. Oto najmłodszy, Tomek, siedząc pod piecem zaczął palcem ruszać mleczny żab, pokazywać starszemu rodzeństwu jak to się rusza, a wreszcie poprosił matkę o nitkę. Ignacy przyglądał się jak chłopaki jeden koniec nitki zawiązują na zębie, a drugi do kłami w drzwi i jak któreś ze starszych szarpnie te drzwi wyrwijając nieszczęsnego mleczaka.

— Mam! — zawołał. — Zęby! — Chłopakom chęsz wstawić zęby? — zdziwiła się żona. — Przecież mają zdrowe jak konie. — Głupiaś — zgromił ją. — Sobie wstawie. — Przecież masz całe. — Już ja wiem, ty mnie nie ucz. Z ust mi przecie nie wyrwa.

Pomysł był dobry, ale we wsi nie było nikogo, kto mógłby dokonać takiego zabiegu. Należało pojechać do miasteczka, do doktora albo felczera. Tylko że czas był nie po temu: wszystkie drogi zapchane były uciekającymi Niemcami i folksdojeżdźcami, nie mówiąc o wojsku etnającym swoje tabory.

A tu, jak na złote dudnienie frontu było coraz bliższe i bliższe. Ignacy poczekał dzień, drugi. Wychodził za wieś, przyglądał się furmankom i czołgom. Na śniegu wyraźnie rysowały się ich potężne czołki, a gasienice do cna przemieniały zmarnięte grudy z ziemią. W koń-

brzmi: Gdzie zdień Giermancy? Lekarz, który robił mu koronki i wcisnął na zdrowe zęby, pokpiwał z Ignacego i z jego zabobnego strachu. „Skoro przeżyłem Niemców — mówił do Ignacego — to Rosjanie mi nic nie zrobią. Znam ich z tamtej wojny, to przywoleli ludzie. Patrz pan, nawet teraz: przyszli, zajęli miasteczko, ale chorągwie wywiesili nasze, biało-czerwone.”

W domu Ignacy wywołał sensację: jak tylko otwierał usta, by cokolwiek powiedzieć, jego zęby połyskiwały żółtawo nadając twarzy nieznaną dotąd, jakby ironiczny wygląd. Śmiechliwie także byli zdziwieni, bo przecież Ignacy nie skarżył się na zęby, a tu proszę! Majątek w ustach!

Zapewne takie zęby świadczyły o zamożności ich właściciela i wywoływały szacunek u pozostałych gospodarzy, w praktyce jednak sprawiły ich właścicielowi sporo kłopotu. Przede wszystkim Ignacy długo nie mógł się do nich przyzwyczaić, po drugiej stronie górze sprawowały niżli jego własne. Odwrotu jednak nie było.

Przeżył Ignacy prawie czterdzieści lat władzy ludowej z zębami wprawionymi w pospóchnę przez miasteczkowego lekarza. Pochował żonę, doczekał wnuków. Zestarzał się. Gospodarkę przekazał najstarszej córce, a właściwie zięciowi i żył kątem w starym domu, nie pozwalając go rozebrać, dopóki jeszcze nogi go noszą, choć córka proponowała by przeszedł do nowego, murowanego.

I oto nastąpił moment nieodwracalny: Ignacy położył się i już nie wstał. A któregoś dnia wnuczka przyniosła mu rano mleko i nie mogła dziadka dobrać. Podniosta lament, przybiegła córka, postawiła po synów. Ignacy leżał twarzą do góry i nie dawał znaku życia.

— Umarł! — powiedział najmłodszy syn. — Trzeba zaraz po lekarza, niech wystawi akt zgonu.

— Ano, trzeba — zgodził się mąż córki. — Musi do miasta po trumnę wypaść... — A co z zębami? — zapytała córka. — Przecież nie pochowamy ojca z takim majątkiem!

Zapadło kłopotliwe milczenie. Trwało jednak krótko. Syn podjął decyzję: zęby trzeba zabrać.

Początkowo chciano posłać po kowala, ale natychmiast ten projekt odrzucono. Kowal, choć zaprzyjaźniony z nimi, przecie człek obcy i kiedyś może się wygadać. A nie daj Boże jak się o coś pokłóca, to może takich rzeczy naopowiadać, że jeszcze prokuratora gotów ściągnąć im na głowę.

— Nie ma rady — powiedziała córka. — Zanim reszta naszych się zjedzie, zrobimy to sami.

Sprawa jednak nie była tak prosta. Zęby śledziły u Ignacego prawie czterdzieści lat i teraz przy zdejmowaniu, nie chciały się poddać. Stwierdzono także, że zęby właściwie uległy skruszeniu, że mimo iż śledziły pod złotem, teraz przy lada mocniejszym szarpnięciu kruszyły się i łamały.

— Ojcu nie będą potrzebne — mówiła córka. — Umarły nie będzie jada.

Po południu, kiedy zdjęte koronki przepłukano i schowano do przyjazdu rodzeństwa, sprowadzono lekarza. Był to

ponownie. Proszę go tylko nie ruszać. Najlepiej byłoby gdyby ktoś z was siedział przy nim, a jak się obudzi, koniecznie dać mu pić.

— Ależ doktorze! — zawołał chórem obecni. — To niemożliwe!

— Co niemożliwe! Co niemożliwe! — zdenerwował się lekarz sądząc, że kwestionują jego diagnozę. — W tym wieku to się zdarza, potem ludzie się budzą i żyją jeszcze kilka lub nawet kilkanaście lat. Do widzenia.

— To nie może być! — krzychał syn. — On umarł! Niech pan wystawi akt zgonu! Słyszysz pan?!

Ignacy spał jeszcze noc i następny dzień, a obudził się pod wieczór, w momencie, kiedy lekarz dawał mu kolejny zastrzyk.

— Witajcie po tej stronie — zażartował lekarz. — Napędziłście stracha dzieciom, nie ma co.

Ignacy nic nie rozumiał, czuł tylko słabość w całym ciele i powracającą senność.

— Nie pozwól wam zasnąć — mówił lekarz. — Dostosuj, proszę otworzyć oczy. O, tak, tak. Poznacie mnie?

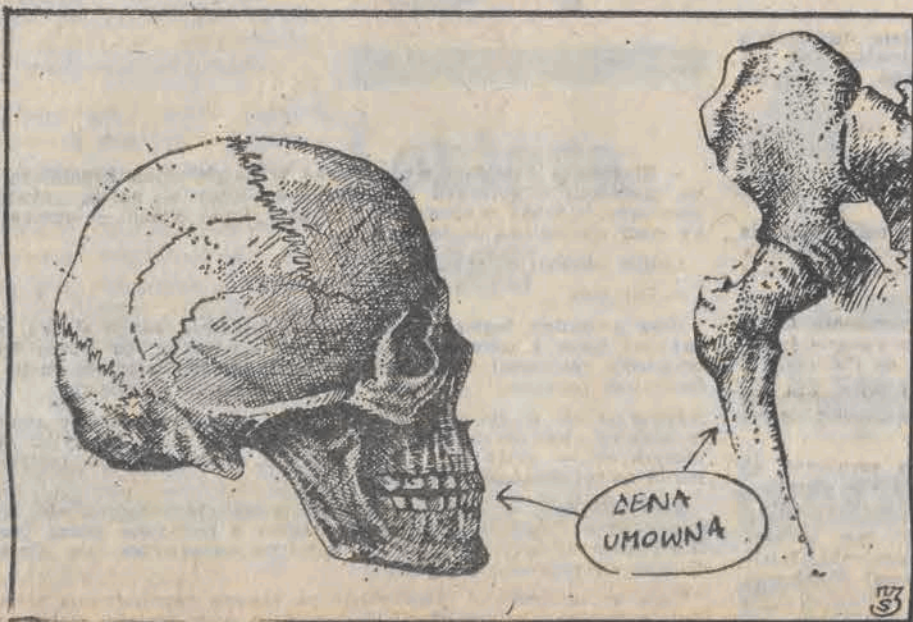
Ignacy kiwnął głową. — Przynieście mi coś ciepłego — zarządził lekarz. — Najlepiej bullonu.

— Chleba — powiedział cicho, lecz wyraźnie Ignacy. — Chcę mi się chleba.

Kiedy podano kromkę, a on wziął ją do ust, stała się rzecz niezwykła. Niedośły nieboszczyk zerwał się na nogi i rozpaczliwym głosem zaczął krzychać, że go obrabowano, że zabrano mu skarb, że własne dzieci dopuściły się podłości...

Tak oto, zamiast pochówku i podziału złotych koronek, spadkobiercy Ignacego wkrótce staną przed sądem. Bo nie dość, że obrabowali śpiącego ojca, to jeszcze zdewastowali mu uezębienie w sposób tak niszczycielski, że żaden stomatolog nie podejmując się wykonać jakichkolwiek mostków czy wypełnień powstałe ubytki. W przeciwnym razie szkielety kazał Ignacemu czekać trzy miesiące.

Samo życie.



Rys. Janusz Szymański-Głuch

## Platynowe uda

I co? Owszem, przywozła trochę ciuchów, trochę grosza, nie powiem, ale przecież wiedziliśmy, że jak ktoś wraca z Ameryki, to nie po to, by dorabiać się w Polsce. No i mamy: platynowe uda! Jak ona to sobie wyobraża!

Bratanek Aleksy był człowiekiem bardziej praktycznym.

— Trzeba będzie ciotkę wykopać i wyjąć te uda.

W pokoju powiało grozą. Pan mecenas przetarł dłońmi twarz, zdjął okulary i przycisnął palcami gałki oczne.

— Konieczna jest ekshumacja — zawyrokował.

Kobiety podniosły lament, bo inaczej nie wypadło, choć każda z nich czuła żal do zmarłej, za ten podstęp. Przecież mogła przed śmiercią powiedzieć, uprzedzić, bodaj napomknąć. A ona nie; zamknęła się z panem mecenasem i jeszcze z dwoma innymi z adwokatami i pisała ten swój testament.

— Na próżno tu tracimy czas — zerwał się Jan. — Bierzemy łopaty i na cmentarz.

Pan mecenas uniósł rękę uspokajającym gestem: siadajcie!

— Nie jest to proste — powiedział kręcąc w rękę okulary. — Aby dokonać ekshumacji zwłok, trzeba uzyskać zezwolenie odpowiednich władz.

— O Boże! — jęknął porywczy Jan. — Ale nas urządziła.

— Takie jest prawo — ciągnął pan mecenas. — Radzę zasięgnąć informacji w prokuraturze. Oni państvem pokierują.

A wszystko się zaczęło rok temu, kiedy siostra niezjącego już Antoniego B. przestała list do jego dwóch synów, że zamierza powrócić do kraju, by umrzeć na ojczystej ziemi i być pochowaną na cmentarzu, na którym leżał jej rodzice, brat i dalsi krewni. Ciotka Anna B. wyjechała z Polski w latach dwudzie-

Kiedy osiągnęła siedemdziesiątkę, łaskotała za krajem stała się nie do zniesienia. Początkowo myślała, że napisze do bratanków, aby przysłali jej woreczek z ziemią, ale zaraz pomyslała o swoich biodrach. Po co ma ktoś obcy je zabrać, skoro może nimi obdarować najbliższych. Ale w liście, w którym pytała bratanków o warunki życia w kraju, nie o tym nie wspomniała.

Po powrocie do Polski także nikt nie wiedział, że Anna B. jest — chodzącym skarbem. Właściwie prawie się nie ruszała, więc siedziała przed domem albo w sadzie, a jeśli już szła to ślimaczo, z trudem stawiając stopy i opierając się o laskę. „Wykończyła ją ta Ameryka — mówili bratankowie. — Zmarnowała nam ciotkę”.

A potem zażądała mecenas, by spisać testament oraz księdza, by się wyspowiadać. I jakoś szybko marniała, gasła w oczach, jakby się kurczyła. Aż któregoś ranka nie wstała, straciła głos i wieczorem było po wszystkim. Lament wypełnił wiejską izbę, sąsiedzi walili bez przerwy i niby to odmawiali modlitwy, to przecież rozglądali się ciekawie co też nieboszczyka zostawiła swoim spadkobiercom.

Pogrzeb był jak się patrzy: msza, ksiądz szedł od domu aż na cmentarz, trumnę niesiono na ramionach, urządzono dość sutą konsolację dla najbliższych...

Potem było już tylko czekanie. Snuto plany co zmienić w gospodarkach, jaki sprzęt zakupić, jakie nowe budynki wybudować. Nikt nie widział przeszkód w realizacji zamierzeń, gdyż za dolary można będzie sprowadzić sprzęt nawet z zagranicy. Pojawienie się pana mecenasu zdawało się ostatecznie zamykać sprawę Anny B. i spadku.

Niestety, odczytanie testamentu okazało się zaledwie początkiem sensacyjnej sprawy.

Zakopać zmarłego, jeśli nie ma jakichś wstrzymań natury prawnej, jest sprawą prostą. Ale wykopać — to cały problem. Wykopanie wymaga absolutnie majestatu prawa. Chyba, że zaistniały okoliczności sugerujące, że w śmierci pochowanego brała udział osoba trzecia. W normalnych warunkach wymaga to założenia sprawy w sądzie. A wiadomo, że sąd jest nierychliwy, choć sprawiedliwy.

Zanim jednak najbliższa rodzina otrzymała prawo wykopania Anny B. i wyjęcia jej platynowych ud, upłynęło trochę czasu. Tymczasem o całej sprawie stało się głośno, początkowo zaczęto o skarbie mówić we wsi, potem we wsiach okolicznych, wkrótce wieść dotarła do miasteczek i okolicznych miast. Wiadomość jest nie tylko frapująca i sensacyjna, ale natychmiast zmobilizowała do czujności hienny cmentarne.

Rodziny B. stanęły przed nie lada problemem: jak uchronić platynowe uda ciotki Anny B. przed wandalami? Milicja? Trzeba byłoby zatrudnić chyba całą kompanię i wyznaczyc godzinny służby. Niby cmentarz jest miejscem zacienionym, jednakże przy panującej obecnie upałach każdy rozkazi jest bezsilny. Najgorzej jest w nocy. Cmentarz aż huczy od głosów, szmerów, sapań, kroków. Za płytami grobowymi kryją się amatorzy łatwego zarobku, faceci zdecydowani na wszystko, a przy tym fachowcy. Czy milicjanci mają obowiązek chronić Annę B. jeszcze po jej śmierci?

Na dziś wygląda to tak: bracia ścigali z całego kraju bliższą rodzinę (muszą za to odpłacić po spieniężeniu platyny) i pełnią całonocne dyżury nad grobem nieodzłanowanej ciotki. Jeszcze chyba żaden nieboszczyk nie miał takiej asyty. Rzecz wygląda dramatycznie i zarazem komediowo. Zanim jednak sąd nie udzieli zezwolenia na odkopanie hojnej ofiarodawczyni, nocne na malm więksim cmentarzu będą obfitować w niezwykle śpięcia, mrozące krew w żyłach zdarzenia i trudne do przewidzenia konsekwencje.

Wydaje się wam, że skoro przeżyliście na Ziemi dwadzieścia lat to już na zawsze pozostaniecie Ziemiakami. Tak jednak nie jest. Po przeżyciu tych parzywych dwudziestu lat twój proces wzrostu jest już zakończony. Masz rozwinięte wszystkie komórki, jakich będziesz kiedykolwiek w przyszłości potrzebował i od tej chwili będziesz już właściwie z górki. To, czym jesteś, to suma absolutnie wszystkich twoich doświadczeń wrytych, wymalowanych czy wtyczonych w ramy, z którymi przyszedłeś na świat. Ale to, z czym przyszedłeś na świat jest ziemskiej natury i przez całe życie swą jesteś Ziemiakiem.

To czym jesteś — to zaledwie cząstka tego, czym mógłbyś być, a to, co widziałeś i co zdziałało, to mała żalona cząsteczka tego, co w ogóle jest do zobaczenia i do zdziałania wtedy, gdy ma się przed sobą cały wszechświat. Oto dlaczego gwiazdni ludzie nie są już Ziemiakami. Oto dlaczego gwiazdni ludzie, odrzucając człowieczeństwo, zapomnieli o swoich poprzednich domach.

Niezależnie od tego, jaki człowiek skieruje swój statek ku gwiazdom, gwiazdy skuszą go, spętają, podporządkują sobie.

Nie ma na Ziemi siły zdolnej przeciwstawić się wołaniu gwiazd.

Colfaxowi wydawało się oczywiście, że tylko jemu nie może się coś podobnego przytrafić. I w jakimś sensie miał rację, ponieważ Colfaxowi niewiele pozostało do stracenia. Bo Colfax to był człowiek mechanizm, człowiek, którego rację istnienia określało postępowanie rozkazem, który nigdy nie pamiętał swych snów, gdy buził się rano.

Pierwszy raz opuścił Ziemię, gdy miał dwadzieścia lat. Był jedynym z członków załogi linowca gwiazdowego „Leda”. Powracał siedmiokrotnie. Dwukrotnie na „Ledzie”. Po raz ósmy odlatywał własnym pojazdem, który zwał się „Srebrna Suka”. Odlatywał, by już nie powrócić.

Przez dwanaście lat, a może więcej, wleźli się po wszechświecie, przez cały czas wyobrażając sobie, że jest cząstką ogromnego, uniwersalnego i powszechnego bytu, cząstką prawdziwego istnienia, posiadającą wyjątkową wolność, nie skrepiowaną żadnymi filozofiami, zasadami, perspektywami, ideami, prawami. Ale w swoim czasie bezgranicznej obojętności wszechświata pozabawia go nawet i tych złudzeń i wyruszył w końcu (podobnie jak wszyscy gwiazdni ludzie) na poszukiwanie swego własnego doskonałego świata, swej Duchowej Przystani, swego Raju.

Colfax odnalazł swój doskonały świat. Jeżeli chcesz, to właśnie to możecie nazwać szczęściem. Każdy gwiazdny człowiek jest pewien, że gdzieś we wszechświecie istnieje jego świat, i że tylko szczęście decyduje o tym, czy go znajdzie.

Wolno też wam przypuszczać, że w Colfaxie było coś takiego, czego nie posiadali inni, coś co pozwoliło mu znaleźć to, czego można było szukać przez całe życie.

A było to tak.

Na Marsydzkie żyła dziewczyna, Colfax, co chyba naturalne, nie był na tyle głupi, by uważać, że raj to tylko i wyłącznie kwestia dziewczyny. Jak większość ludzi, wiedział, że dziewczyna istnieje po to tylko, by sprawić przyjemność...

Siorane była córką sklepiarkarza, który cierpiał na ksenofobię. Objawiało się to w szczególności w stosunku do przybyszów z obcych światów, najbardziej zaś do Ziemiaków, a co za tym idzie, do Colfaksa.

Sklepiarkarz ów nazywał się Orgoglio i przypominał Colfaxowi sępa, a to z powodu nagiej, pomarszczonej głowy, niebieskawej skóry, wielkiego nosa i złosiwego wyrazu oczu.

By być uczciwym w tej charakterystyce — trzeba zaznaczyć, że większość tych cech była związana z rasą i nie miała nic wspólnego z szatańskimi skłonnościami tego indywiduum.

Siorane również posiadała większość z tych „zalet”, lecz w niej poboczyły się one w całość, która robiła odmiennie wrażenie. Jeżeli Orgoglio przypominał sępa, to ona przypominała raczej fioletowo-czarnego, lśniącego, pełnego wdzięku sokoła.

Gdy Colfax ujrzał ją po raz pierwszy, powiedział do siebie — o, czego mi potrzeba.

Colfax nie był romantykiem. Myślał kategoriami popytu i podaży. Widział już na innych planetach mieszkanki Marsyady i wiedział, że można je kupić stosunkowo łatwo, zakładając oczywiście, że dysponowałeś odpowiednią sumą...

Marsyadki uważały swe kobiety za coś, niewiele więcej warte, niż inne części majątku (a pod pewnymi względami warte nawet trochę mniej) — i w ogóle były urodzonymi handlarzami. Lichwa i dzierżawa należały do ich cech narodowych, a łupienie przybyszów z innych światów zaliczało się do najpopularniejszych rozrywek.

Odwołanie dziewczyny zabrało Colfaxowi dwa dni, dalsze dwa przeznaczył na zapoznanie się z tym konkretnym przypadkiem.

Doszedł do wniosku, że pierwsze wrażenie nie zwiódło go w najmniejszym nawet stopniu, i że to właśnie był konieczny element raj, którego jak dotąd nie znalazł. Był też pewien, że uda mu się wytarować dziewczynę. Znal przecież stosunki panujące na Marsyadzie. Przypuszczenia jego nie brały jednak pod uwagę wrodzonej perfidii, jaka skazywała była dusza Orgoglio.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć w tym momencie, iż pewnych kłopotów nabawił się Colfax wyłącznie za swojej winy. Gdyby nie był tak zimnym, wyrachowanym typem, gdyby był podobny do innych ludzi, miał w sobie odrobinę romantyzmu, z pewnością wybiłby Orgoglio — odwołując się do tradycji Ziemiaków. Uwierzenie ich uprowadzenie — data stuprocentowa szansa powodzenia. Oczywiście i one czasami zawodzi, ale planet, gdzie kobiety traktowane są jak śmieć stwarzają określone ziemskie możliwości...

Ala Colfax to był po prostu Colfax, który sądził, że handel to handel. Wybrał się więc na spotkanie z Orgoglio.

Ten rzucił jedno spojrzenie w kierunku Colfaksa i wiedział już, że odwracał go z kwitkiem. Decyzja nie miała nic wspólnego z jakimikolwiek ojcowskimi uczuciami. Zdecydowała niestrawność, na którą aktualnie cierpiał.

— Podobna ci się moja córka, co? — spytał Orgoglio tonem Sherlocka. Colfaxowi wydało się, że łąka chwila wybuchnie, jeżeli Orgoglio nie wstąpił z bardziej wiążącą ofertą.

— No cóż — dorzucił — Nie zamierzam sprzedawać jej tobie.

Zdumiony Colfax — nie bardzo już wiedział, jak dalej prowadzić tę transakcję.

Upierał się stanowczo.

Orgoglio pozostawał nieublagany.

Siorane przysłuchiwała się.

Siorane nie była głupia. I nie była zakochana w ojcu, ani też w żadnym Marsydzkie. Nie widziała innych światów, nie mogła też więc porównywać swojego. Nie była też na tyle naiwna, by wleźć w onowicie gwiazdnych żeglarzy. Musiała wystarczyć jej świadomość, że inne światy istnieją i nigdy też w swoim krótkim życiu nie czuła się szczęśliwa.

W Colfaxie widziała szansę wywobudzenia się. Widziała w nim również silnego, okrutnego, pustego typa, który pod tym względem wcale nie różnił się od jej ojca. Trudno więc było podjąć decyzję.

W końcu najlżejszym rozwiązaniem dylematu wydało się jej ustanowienie tak wysokiej ceny, by Ziemiakom mógł się spłacić z największym trudem, uświadamiając sobie jej prawdziwą wartość. Była na tyle sprytna, by odrzucić, że im więcej Colfax za nią zapłacił, tym bardziej będzie ją szanował.

Podeszła więc do ojca i szepnęła mu do ucha, że najlepszym sposobem na pozbycie się Ziemiaków, i zarazem ośmieszenie go, będzie żądanie, by zapłacił jedną z łez słońca.

Orgoglio zarechotał, co spowodowało ostry ból w jelitach. Łzy słońca — to klejnoty posiadające na Marsydzkie wysoka cenę. Niemożliwością byłoby je ukraść, prawie niemożliwością byłoby je kupić i diabelnie trudno byłoby je znaleźć. O ile żądanie mieściło się jeszcze w zdrowych granicach prawdopodobieństwa, o tyle cała sprawa wydawała się jak dobry dowcip.

— Możesz ją mieć — rzekł Orgoglio — przewracając przy tym oczyma jak handlarz, który zmusza się do zaakceptowania niekorzystnej ceny — w zamian za łzę słońca.

Colfax zamyślił się.

— Co to są do diabła te łzy słońca? — spytał podejrzliwie.

— Tego już musisz się sam dowiedzieć — odparł Orgoglio.

Mimo, że cena była ustalona, Colfax nie miał ochoty odejść. Zapalał chęć kupienia dziewczyny, ale jego duma była urażona sposobem traktowania go przez Orgoglio. Przez chwilę zważał się, w końcu podał się z tym faktem. Pewnie wydaje wam się śmieszne, że Colfax dał się zwieść, ale nie zapominajcie, że Colfax był wiecznym poszukiwaczem gwiazd i żeglarzem, a gdy człowiek ogarnięty jest gorączką poszukiwania dla samego poszukiwania, wtedy często godzi się na coś w rodzaju namiastki swoich pragnień.

Colfax powrócił do Srebrnej Suki. Przy statku siedział mężczyzna — Ziemiak. Był stary, chudy, pozaczyniony bliznami, przestraszenia i obcym powietrzem, jeden z tych, którzy wyruszyli na poszukiwanie i niczego nie znajdowali. Stracił statek, pieniądze, poczucie samego siebie. Teraz był tylko żebrakiem rzuconym w obcy, wrogi świat.

— Witam cię bracie — powiedział stary.

Colfax włożył rękę do kieszeni i wygrzebał wszystkie monety, jakie się w niej znajdowały. Żadna z monet nie znajdowała się w obiegu na Marsydzkie, mimo to można było coś za nie kupić do zjedzenia, ubrać się.

Colfax bez namysłu wręczył je staremu. Nie było w tym geście ani śladu hojności. Gest ten mówił nie o Colfaxie — zwyczajnym, konwencjonalnym odruch, by nie rzec — obycaju. Gwiazdni żeglarze musieli troszczyć się o samych siebie, ponieważ nikt inny o nich się nie troszczył.

— Powiedz mi bracie — zagadnął starego Colfax — przyklekając, by pomóc mu wstać — co miałbyś na myśli — gdybym mówił o łzach słońca?

**BRIAN MX. STABLEFORD**

## Łzy słońca

— Byszczące kamienie wydobywane w najgłębszych kopalniach — na planetach o gorących wnętrzach, do których należą również Marsyady. Gdyby wypowiedział to przy innej okazji — oznaczałoby to rzecz niemożliwą do zdobycia.

Colfax uściłnął dłoń starca.

— Dziękuję.

Nasz gwiazdny żeglarz posilił się na pokładzie swego statku, zapakował torbę z ubraniami, pieniędzmi i wszystkim, co można było wymienić, zatrzasnął drzwi Srebrnej Suki, zapłacił władzom portu za dozwolenie na pojazd i wyruszył na poszukiwanie łez słońca.

Zmierzał nie w kierunku kopalni, gdzie mógł przypadkowo znaleźć te klejnoty, lecz do miasta Annes Almagel. Wiedział, że tylko tam niemożliwe — może się znaleźć. Było to ostatnie miasto (przynajmniej na tej planecie) z Galacellii.

Marsyada była — od czasu pojawienia się pierwszego szlaku kosmicznego — podbijana trzykrotnie. Jeden z podbojów został przez Marsyadów odparty. Obecnie po dawnych zdobyciach nie istniały na planecie najmniejsze ślady.

Wraz z zdobycwami przybywali na planetę reprezentanci wcześniej podbitych społeczeństw. Większość z nich została wchłonięta przez miejscową kulturę. Jednakże Galacelliole zachowali swoją odrębność. Ponieważ nie wojowali z Marsyadami, pozwolono im przeżyć.

Pochodzenie Galacellian nie zostało jak dotąd wyjaśnione. Istnieli zawsze na uboczu wielkich imperiów, pojedynczo lub parami, porzuceni po całym wszechświecie. Nikt nie zwracał na nich większej uwagi, a i oni nie mieli innym zbyt wiele do zaoferowania. Jeżeli chodzi o Ziemiaków, to nie znalazłbyś takiego, który przynajmniej raz w swoim życiu nie korzystałby z pomocy Galacellian. Ziemiakom to chyba najbardziej ciekawskie istoty we wszechświecie, ponieważ wiedza tak mało, podczas gdy Galacellianie należą do najmniej wścibskich, ponieważ wiedza tak wiele. Nie jest to bynajmniej jedyna istotna różnica pomiędzy tymi dwiema rasami. Ziemiakom to najdoskonalsi, najbardziej konsekwentni i zarze w całym wszechświecie, podczas gdy Galacellianie mówią zawsze prawdę, całą prawdę i nie oprócz prawdy. Teraz rozumiacie dlaczego Ziemiakom i Galacellianie czują do siebie coś w rodzaju wzajemnej sympatii. To było powodem, dla którego Colfax — znalazłszy się w kłopotach — wyruszył na ich spotkanie.

Przybysz na miejsce, zatrzymał na ulicy pierwszego lepszego Galacellian i spytał:

— Gdzie mogę zdobyć chociaż jedną łzę słońca?

Galacellian spojrział na niego przewlekłe swoimi dziecięcobłękińnymi oczyma, pomyślał chwilę i odrzekł:

— Jeżeli kiedykolwiek posiadiesz jedną z łez słońca, będzie to podarunek od Avageyn, która jest żeńską istotą zamieszkującą planetoidę w układzie gwiazdy Gallia.

Następnie uśmiechnął się, skinął przyjaźnie głową naszemu znajomemu i poszedł swoją drogą.

Colfax rozpoczął podróż powrotną.

W drodze powrotnej Colfax zaczął boleć stopy. Może to wam się wydać nieważne, ale fakt ten miał istotną wagę szczególnie dla naszego bohatera Colfax był Poszukiwaczem, a Poszukiwaczom potrzebny był cel, nawet iluzoryczny. Gdy ma się go przed sobą, można iść i nie pytać o nic więcej, bowiem posiadanie celu wystarcza, by nadać czyjeś egzystencji sens. Nie dba się wówczas o nic.

Również Colfax nigdy nie zastanawiał się nad tym wszystkim, gdy po prostu zmierział z punktu A do B.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Colfax zaczął boleć stopy. Nie tak, jak pecherze na piętach nie skłania do odpoczynku i zadania sobie pytania: — Po kiego diabła tak się męczę?

Colfax zaczął się zastanawiać. Wiedział przecież, że dziewczyna w istocie rzeczy nie była warta tego wysiłku. Ostatecznie Prawo Stereotypowej egzystencji mówiło, że na każdym ze światów istnieje jakiś osobnik płci żeńskiej. Dlaczego więc zamęczać się na śmieć — dla tej jednej?

Potem nosił go myśli dotyczące ceny klejnotu. Doszedł do wniosku, że pomysł udania się na tę planetoidę, sam w sobie, wcale nie jest taki zły.

Otak, można się przy okazji przekonać czy Avageyn pamięta o jego urodzinach.

I w ten sposób niechybnie doszliśmy do kluczowego momentu opowiadania. Gdyby Colfax — jak każdy przeciętny osobnik z tego gatunku — wyruszył na Gallie w jednym celu — zdobyć środek płatniczy, a później, dzięki niemu, upatrzoną dziewczynę, obróciłby naszą historię w nic nie znaczącą farsę, lecz wbrew powszechnemu odczuciu nie jest to sposób na osiągnięcie raj. Zamiast tego wszystkich, z powodu obolałych stóp, Colfax poleciał na Gallie — i wydarzenia potoczyły się w zupełnie innym kierunku.

Avageyn była ogromna. Spoczywała w powiększonej swej bezwzględnej sędziwy — zapatrzona w cały świat, nieruchoma, jakby wykuta w czarnej skale. Jej twarz przypominała twarz olbrzyma. Jej oczy palne powagi i kontemplacji, utkwiwone były w milczących gwiazdach. Nigdy nie mrugnęła, nie uśmiechnęła się, nie kichnęła, nie zasnęła.

Colfax osadził swoją Srebrną Sukę tak, by najczystszy z wizerów skierowany był na Nią.

Czekał.

Czekanie było jednym z tych ludzkich zachowań, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego. Denerwował się, niepokoił, niecierpliwiał.

Avageyn — po prostu go ignorowała.

Czas mijał.

Dzień po dniu (czas obrotu planetoidy Exar wokół swej osi wynosił godzinę), noc po nocy obserwował, jak światło słońca omywa nie-

wrzoną twarz Avageyn, by zaraz potem zamienić się w najgłębszą ciemność.

W końcu oczekiwanie znudziło go zupełnie. Stało się oczywiste, że jeżeli pozostawi rzeczy swemu biegowi, to ów niewiarygodny stwór nigdy nie raczy go zauważyć. Zalażył więc skafander i opuścił statek. Idąc wzdłuż jednej z macek zatrzymał się poniżej jej olbrzymiej twarzy i utkwił wzrok w soczewkowatych oczach potwora. Nie znajdował w nich niczego, co wskazywałoby na zainteresowanie się potwora jego skromną osobą.

Jego mózg wyprodukował słowo „Proszę” i wypromieniował je z siebie z całą siłą. Bez rezultatu. Wydawało mu się, że już nie nie porażki. Po dalszych minutach odwrócił się do stwora plecami. Zamierzał odejść. Ledwie to uczynił, Avageyn poruszyła się. Jej ogromne, szerokie usta rozszczepiły się. Z jej ust wysunął się język, który zgarnął go w jednej chwili, jak mrówkę. Usta zamknęły się i Colfax znalazł się w żarłocznej paszczy pograżony w mroku.

Nie zdążył się nawet przestraszyć. Do jego świadomości nie dotarł nawet fakt, że w ogóle coś się wydarzyło. Stracił poczucie czasu. Rozejrzał się dookoła i poczuł nagłe, że jest nagi i że oddycha rześkim, przepojonym zapachem bzu — powietrzem.

Stał na srebrzystej plaży, która wąskim pasem lśniącego piasku oddzielała modry ocean od wysokiego lasu wyblakłych drzew. Płatki kwiatów leciały z wiatrem i opadały na niego różanym deszczem.

Pomiędzy drzewami widniały domki pobudowane na wysokich palach. Byli również ludzie, czający się pomiędzy drzewami i przyglądający mu się z ciekawością. Oczywiście najwięcej było dzieci.

Trzech mężczyzn, wysokich, siwychłoch podszło do niego i podziwowało go. Wyglądało na to, że spodziewali się jego przybycia. W ich głosach czuło się sympatię i zupełny brak zaskoczenia.

Colfax nie rozumiał ani słowa, lecz intuicyjnie czuł, że wszystko jest w porządku.

Dali mu żywność, poczęstowali winem i ciągle mówili tym swoim przyjaznym, lecz niezrozumiałym językiem. Ciąg dźwięków działał hipnotycznie, a słodycz powietrza jak narkotyku.

Z drzew opadały kwiaty i po jakimś czasie dojrzałe owoce. Powietrze było ciągle wonne, przepojone światłem. Colfax poddał się jego rytmowi, a samo oddychanie sprawowało mu rozkosz. Czas uleciał z kolosalną prędkością. Dni rodziły się i umierały, tak jak na każdym normalnym świecie, a przecież każdy z nich — podobnie jak noc — miał po piętnaście i więcej godzin.

Umysł Colfaksa — był nieskazitelny jak nocne niebo, jego myśli płynęły, a uczucia byszczwały i skrzyły się w jego ciele. Odżywał się owocami i chlebem, który dostarczali mu wieśniacy.

Przez trzy dni — (z pięciodniowego tygodnia) uczestniczył w pracach na roli, w miśnie i innych miejscach wskazanych przez wieśniaków. Polubił tę pracę i tych ludzi, mimo iż nawet nie znał ich nazwisk. Mówili do niego ciągle, lecz przestał się już martwić, że się nie rozumieją. Im też to widocznie nie przeszkadzało.

Mineję trzysta dni, nim łście zaczęły opadać z drzew, kiedy to ostatni z owoców został zjedzony, a w powietrzu zapanował bezruch i martwość.

Tego ranka obudził się i przyjrzał się swoim ręką, na których znalazł odciski, będące dowodem wkładu jego pracy w życie wioski. Spojrzał na cytrynowe słońce wschodzące za welonem delikatnej mgły. Wiedział, że słońce było prawdziwą gwiazdą i że do tego miejsca z pewnością nie dotarby swą Srebrną Suką.

Był to pierwszy dzień przeżyty z całkowitą świadomością. Ludzie byli przyjaźni i mili tak, jak poprzednio. Również las wydawał mu się tak samo piękny, piasek na plaży tak samo srebrzysty, a morze błękitne.

Ala nie spoglądał już na to wszystko tymi samymi oczyma. Powietrze było chłodne, puste, martwe. I gdy tego dnia położył się spać, zaprzęgnął śnić o swej Srebrnej Suce i o gwiazdach nad głową, nawet gdyby sen miał być krótki i gdyby następnego dnia miał o wszystkim zapomnieć.

Ala gdy następnego ranka obudził się, stwierdził ze zdziwieniem, że znajduje się w swym łóżku na Srebrnej Suce i że w prawej dłoni zaciska jedną z łez słońca.

Miała kolor ognia i była ciepła. Polyskiwała, a iskry pod jej powierzchnią znajdowały się w cielejnym chaotycznym ruchu. Colfax rozemniał się. Trzymał w ręku klucz do potęgi i do bogactwa. Kosmiczny kaprys — okazał się wyjątkowo łaskawy, a cena jaka zapłacił za rok spędzony w świecie, do którego wysłała go Avageyn — wydała mu się śmiesznie małą.

Powrócił do Marsyady i odszedł sklepiarkarza Orgoglio. Orgoglio obejrzał łzę słońca i rozemniał się. Był zmieszany. Był to pierwszy dzień, kiedy Ziemiakom udało się zdobyć łzę słońca. Z drugiej strony — myślał sobie — ten bezwenny klejnot może oczywiście stać się jego własnością w zamian za bezwartościową córkę.

Proszę sobie nie wyobrażać, że Orgoglio darzył teraz Colfaksa większą sympatią niż przed rokiem.

Colfax zaśmiał się również, na tyłach sklepu ujrzał swoją dziewczynę. Promieniowała szczęściem. Najbardziej romantyczny z jej dziecięcych snów — był bliższy spełnienia. Spodziewała się, że ten Ziemiakom potrafi odnaleźć łzę słońca. I teraz oto powrócił, by się o nią upomnieć. Tak jej się przynajmniej wydawało.

W rzeczywistości uśmiech Colfaksa oznaczał wszystko, tylko nie to. Śmiał się z siebie, z szalonych myśli, które czasem przychodziły mu do głowy.

Siorane wciąż wydawała mu się piękną, ale nie była już niewykłka. Zgasł w nim żar zażalenia. Była dla niego warta tak wysoką cenę, ale wtedy gdy jej na nią żądano. Teraz, gdy już mógł sobie na nią pozwolić, nie była warta nawet tysięcznej jej części.

Colfax śmiał się długo, tak długo, że śmiech Orgoglio ucichł i wtedy Colfax zaczął śmiać się jeszcze głośniej i Siorane poznała całą prawdę. Powstrzymała jednak cisnące się do oczu łzy. Trumfła ból płynący z uświadomienia sobie własnej naiwności. Na szczęście na Marsydzkie wszyscy posiadli tę umiejętność.

Kamień uczynił Colfaksa bardzo bogatym. Sprzedał go na Pele-rze — i w ten sposób dorobił się fortuny. Sprzedał swą Srebrną Sukę i zakupił lepszy statek o nazwie Tęcza. I jeszcze raz wyruszył w daleki Pościg.

Upłynęło dziesięć lat, a może więcej, nim zdał sobie sprawę, że poznał już raz swój raj, o którym później zapominał. Tak, potrzebował aż dziesięciu lat, by przypomnieć sobie woń tego obcego lata i jego działanie.

Powrócił na planetoidę Exar w systemie gwiazdy Gallia, i zastał Avageyn taką, jaką ją opuścił. Nieruchoma. Stała w jej cieniu. Odnalazł w tym miejscu swój stary skafander, który czekał na niego tyle czasu.

Zabrał go na pokład Tęczy i przebrał się. Powrócił do Avageyn dokładnie tak, jak wtedy. Wymówił słowo „Proszę”, ale nie doczekał się odpowiedzi. Poczuł się bezradny. W kombinowanie był już inny człowiek, z innymi myślami, marzeniami i potrzebami. Czekał długo, lecz na próżno. Avageyn nie miała mu już nic do zaoferowania.

W jakiś czas później, na Stagirycie spotkał Galacellian.

— Gdzie jest świat, w którym spędziłem lato i gdzie nie biał gwiazd na niebie? — zapytał.

— Jeżeli świat taki istnieje — odparł Galacellian — jest on poza zasięgiem twoich możliwości.

Był to nieodwołalny wyrok śmierci dla Biednego Colfaksa. Nie zszedł na ubocze, by popełnić samobójstwo i nie poddał się czarnej rozpacz. Ale stał się wewnętrznie pustym i wiedział o tym doskonale.

Tysiące innych ludzi podobnie jak Colfax, szukali swoich własnych rajów, ale nikomu nie udało się tego nawet w części osiągnąć. Colfax przeżył w swym raju jedno długie lato. Osiągnął w ten sposób więcej szczęścia, niż mógł się spodziewać każdy inny żeglarz.

Pewnie Kosmiczny Kaprys nie sprzyjał im zbytnio. Najłaskawszy okazał się dla tych, którzy wiedza kim są, którzy nie muszą wrzucić do Pościg i którzy rozumieją — gdy inni ludzie mówią do nich głosem przyjaźni.

Przekład: M. K.



# Hipotezy

Termin „potworność”, zastrzeżony w rozumieniu potocznych dla stworzeń „z piekła rodem”, o dziewięciu, zionących ogniem paszczach ma w pojęciu naukowym zupełnie inną, ściśle określoną wykładnię. Ujmując sprawę z punktu widzenia biologii, termin ten stosowany oczywiście do organizmów żywych, w tym także człowieka, określa takie wady rozwojowe, które prowadzą do powstania form zniekształconych. W takim więc aspekcie potworem może okazać się tyłek nieszkodliwie stworzone, co ciele, gdy urodził się z dwiema głowami, podczas gdy nie będzie nim, np. olbrzymi kraken — wielka kalamarnica z legend żeglarzy skandynawskich, jako wytwór ich wyobraźni, a nie realnie istniejący organizm.

Wniosek stąd płynący oczywisty, nie należy zwierzać i ludzi nazywać potworami, li tylko ze względu na to, że budzą naszą awersję i ciekawość — dwa nierozłączne jak się zdaje uczucia — tak samo, jak tzw. potwory mogą okazać się przy bliższym z nimi zapoznaniu, choć rzadkim, ale „zwykłym”, dwugłowym cieleciem.

Opuśćmy więc słowo „potwory” i zastąpmy je terminem „organizmy”. Zabieg ten nie będzie jedynie zwykłym trikiem lingwistycznym. Chodzi bowiem o racjonalne — na ile to możliwe — podejście do problemu istnienia w oceanie stworzeń, być może nieznanymi nauce, których w żaden sposób nie da się wtłoczyć w ramy zwykłego marynarskiego mitu o białym, fosforyzującym wielorybie, wężu morskim czy olbrzymim kalmarze wciągającym w odmęty całe statki.

## SPOTKANIE NA MORZU

„Drogi Włodzimierzu Aleksandrowiczu. Korzystając z nadarzącej się okazji posyłam Wam notatkę o wydarzeniu, które przydarzyło się w czasie rejsu. Jeśli z Waszego punktu widzenia ta informacja wyda się interesująca, nie odmówcie proszę przesłania jej do redakcji pisma, które uznacie za najodpowiedniejsze.

Rysunek sporządziłem opierając się na słowach W. I. Titowa, z którym pływamy razem już 10 lat. Wierzę w jego spostrzegawczość i znam go jako człowieka absolutnie nieskłonego do fantazjowania. Oprócz tego opowiedział mi, że i na Oceanie Indyjskim, między 25 a 35 stopniem szerokości geograficznej południowej, już niejednokrotnie widział takiego „długonosego wieloryba”. Głowa „długonosego” (dotychczas), według jego opisu stanowi przynajmniej trzecią część długości ciała. Barwa szwajstobrunatna. Całkowita długość zwierzęcia — 5-6 m. Żyje w stadach liczących 6-7 osobników. Wśród dorosłych są młode.

Kiedy pokazałem W. Titowowi rysunki i fotografie delfinów butelkonosych i innych waleń, on z całą stanowczością stwierdził, że żaden z nich nie jest podobny do zaobserwowanego przez niego „długonosa”. Jeszcze dziwniejsze jest to, że gdy zobaczył rysunki przedstawiające ichtiozaury, wręcz zdumiał się ich podobieństwem do „długonosa”.

Titow twarzą obiecał na przyszły rok (ten rejs ma się ku końcowi) złapać to zwierzę, raz na zawsze. Według jego słów nie ma w tym żadnego problemu, ponieważ każdego sezonu wylądował „długonose wieloryby” wielokrotnie. Wasz A. Kuźmin (Singapur, kwiecień 1978).

A teraz, w skrócie, relacja W. I. Titowa według notatki sporządzonej przez A. Kuźmina. Wiosną 1978 roku w południowo-zachodniej części Oceanu Spokojnego, dwóch marynarzy z załogi okrętu-przetwórnicy — W. I. Titow, który pracował wcześniej jako obserwator na marsie, potem pomocnik harpunnika i wreszcie jako harpunnik na okręcie wielorybniczym, i motorzysta W. F. Warlowa — zobaczyli w odległości 70 m od prawej burty przedmiot przypominający w swoim zarzysie płetwę grzbietową kaszalota, ale większych rozmiarów i innego koloru. W centrum tego przedmiotu było dobrze widocznych wiele świetlistych smug.

Statek w tym czasie przybliżył się na odległość około 50 m i wtedy, na grzbiecie fali, pojawiła się głowa nieznanego zwierzęcia. Poruszało się szybko, jego paszcza była rozwarła, a strömy kark wznosił się nad wodę na półtora metra. Na górnej szczycie jaskrawo odświecała się biała smuga, która okalała paszczę zwierzęcia na całej jej długości. Z profilu jego głowa przypominała stożek. Grubość górnej szczęki u podstawy paszczy miała około metra, zaś średnica jej przedniego końca 30-40 cm. Całkowita długość głowy wynosiła 1,5-2 m. Wzdłuż górnej szczęki biegły czarne pasy — wszystko wskazuje na to, że pasy te to nie inne, jak przerwy między zębami. Ciało nie prześwietlało przez wodę. Zwierzę pozostawiało za sobą dwa łańcuchy okrągłych zawirów (z rosyjska nazywanych „blinami”), przypominających fale powstające w czasie wiosłowania.

Oddajmy głos samemu Titowowi: „...W odróżnieniu od białin, ślady które pozostawiał miały elioidalną formę i dawały złudzenie gotującej się wody. Między tymi dwoma łańcuchami zawirów pojawiały się także tradycyjne bliny, ale z rozpyłowymi się konturami”. Opisane ślady są charakterystyczne dla ruchów kończyn, ogona i tułowia — konkluduje A. Kuźmin.

## PODSTAWOWE PYTANIE

Notatka o spotkaniu na Oceanie Spokojnym z nieznanym, olbrzymim zwierzęciem, z jednej strony wywołuje zainteresowanie często graniczące z bezkrytycznym entuzjazmem z drugiej zaś strony — oczywiście wywołuje zrozumiałe niedowierzanie. Czyżby w naszych czasach możliwe było istnienie jakichś nieznanymi nauce stworzeń? Równoczesne fakty mówią że świat wielkich zwierząt morskich nie jest w pełni zbadany. W ciągu ostatnich 20 lat odkryto według skrajnych ocen 4 lub 6 nowych gatunków walen i W 1976 r. w dorzeczu Amazonki znaleziono nowego przedstawiciela delfinów — bolidiiska inie.

Radziecki biolog, prof. A. Jabłokow dopuszcza możliwość istnienia w oceanie zwierząt nam nieznanymi, „szczególnie, jeśli dostatecznie rzadko występują one na powierzchni”. I

dodaje zaraz: „...Morskie gady, np. żółwie, z właściwą im przemianą materii, wypływają dla zaczerpnięcia oddechu dziesiątki razy rzadziej niż wieloryby i delfiny”. Prof. A. Jabłokow rozważa także pytanie o możliwości przetrwania do naszych czasów wielkich gadów morskich — ichtiozaurów, mozazaurów czy plezjozaurów, które uważa się za wymarłe przed dziesiątkami milionów lat. Pytaniem tym zajmujemy się jednak po przedstawieniu innych relacji o napotkaniu wielkich zwierząt morskich przypominających mezozoiczne gady.

## IDAC BRZEGIEM...

Wód otaczających Orkady i Wyspy Szetlandzkie obawiają się wszyscy żeglarze z powodu występujących tam prądów i podprądów oraz wirów towarzyszących przypływowi. Owe prądy i podprądy poziome połączone są z prądami pionowymi, które bywają tak stronne, że tworzą podwodne wodospady — „Niagary wielkich mórz” — jak opisuje je „zjawisko Fritz Kahn, autor książki „Wszczęświat Ty i Ja”.

# Kuzyni Nessie w oceanie



Powstające wiry są tak gwałtowne, że często wyrzucają na brzeg zwierzęta typowo głębinowe.

W 1808 roku na wybrzeżu Stronsay, jednej z wysp Archipelagu Orkady (Ph. Szkocja), znaleziono rozkładające się już szczątki ogromnego zwierzęcia. Niejak Dr Barclay zebrał na miejscu zaprzysiężone zeznania świadków i stwierdził, że „potwór ten miał trzy pary krótkich, mięsistych płetw i wcale nie przypominał ryby” — jak donosi w swym raporcie do Wernerian Natural History Society w Edynburgu. Słowa te nie przeszkodziły jednemu z znanych angielskich anatomów orzec, po zbądaniu dwóch kręgów, które ocenił, że potwór ten był olbrzymim rekinem.

19 marca 1883 roku nowozelandzki „Times” doniósł o odkrytych na wybrzeżu Queenslandu (Australia) kościach wielkiego nieznanego nauce potwora morskiego. Jego długość oszacowano na co najmniej 12 m. Kość biodrowa zwierzęcia określono jako olbrzymią, a przeciw wiadomo, że kości biodrowe wielorybów są szczytkowe i mają około 30 cm długości... Niestety nie opublikowano raportu ekspertów, ani też nie podano, jaki był los szczątków stwora. Zapewne zapakowano je do skrzyni i odstawiono w zapomnienie w jakimś magazynie — podobne dzieje przeszły pierwsze odkryte skamieniałości dinozaurów w Ameryce, w 1820 roku.

Jeszcze inne „niemożliwe” zwierzę, być może spokrewnione z potworem z Orkadów, znaleziono w 1896 roku, niedaleko St. Augustine na Florydzie. Bezszałtina góra mięsa o wymiarach 140 x 210 x 630 cm ważyła około 7 ton. W nowojorskim „Heraldzie” z 2 grudnia 1896 r. można przeczytać następujący opis tajemniczych szczątków:

„Skóra jest jasnodrąwa, prawie biała, w słońcu wyraźnie srebrna. Jest bardzo gruba i nie można jej rozciąć ostrym nożem”.

A przeciw skóra wieloryba, jak zresztą każdego ssaka, nie jest przeszkodą dla wprawnych rąk mieszkańców nabrzeżnych wioski rybackiej. Nie poruszony tymi faktami prof. A. E. Verrill w artykule zamieszczonym w „American Naturalist” stwierdza, że badane zwierzę jest kaszalotem, chociaż musi nadmienić, że „jego głowa w niczym nie przypomina głowy żadnego znanego gatunku wielorybów”.

Owe doniesienia z XIX wieku były, jak wiadać, fragmentaryczne i dość powierzchowne. Czy można je jednak traktować tylko z przymrużeniem oka? Być może nowe światło na tę sprawę rzuci ostatnie wieści o odkryciach niezwykle zwierząt głębin morskich. Zwierzęta te nie są zapewne spokrewnione z potworem opisanym przez Kuźmina, łączy je jednak pewna charakterystyczna cecha — nie są to ryby!

## Z POKŁADU STATKU...

W 1977 roku, w pobliżu Nowej Zelandii japoński trawler rybacki wyłowił dryfujące szczątki ogromnego zwierzęcia. Głowa na długiej szyi, cztery kończyny-płetwy, w połączeniu z niezwykle rozmiarami (ponad 10,5 m) jak ulał pasowały do wzierunku mezozoicznego gada-plezjozaura, wymarłego przed 63 mln lat. Rozkładające się dwutonowe zwłoki strasznie cuchnęły, więc po sfotografowaniu wrzuciono je do morza. W oparciu o wykonane zdjęcia dyrektor Narodowego Muzeum Wiedzy, prof. Yachinori Imajumi stwierdził, że „jest to jedno z najbardziej rewelacyjnych odkryć przyrodniczych naszego stulecia”. Mniej entu-

zjastyczne stanowisko zajęli inni badacze — większość z nich jest zgodna, że Japończycy znaleźli trupa współczesnego średnich rozmiarów walenia.

Od maja 1978 roku trwają badania zagadkowego zwierzęcia, które wpadło w sieci rybaków urugwajskich koło Montevideo. Jego ciało pokryte pancerzem na wzór żółwia, posiadało potężne płetwy i ogon. Przy długości około 2 m ważyło blisko tonę. Ani doświadczeni rybacy, ani naukowcy z Instytutu Zoologicznego z Montevideo nie są na razie w stanie określić, do jakiego gatunku należy ten okaz.

Koncepcja przetrwania w wodach oceanów przedstawicieli wielkich gadów morskich, takich jak plezjozaur czy ichtiozaur, wciąż jednak ma i od dawna miała swoich najzagalniejszych zwolenników. Dawniej bazowali oni na relacjach naocznych świadków. Zamiast fotografii zadawano się szkicami wykonywanymi naprędce, na skrawkach gazet, w następstwie stołu używając zgiętych pleców podkaszanych gąbów. Jedną z takich najbardziej znanych relacji jest obserwacja z pokładu jachtu „Walhalla” z 7 grudnia 1905 roku.

Dwóch zoologów, prowadzących badania na południowym Atlantyku donosiło o odkryciu ogromnego, nieznanego zwierzęcia:

„...Z tyłu płetwy grzbietowej, pod wodą, dał się odgadnąć kształt jakiegoś niezwykley rozmiarów cielska. Wtem, z przodu płetwy pojawiła się podobna do węgorka szyja o długości około 6 stóp (180 cm) i grubości ludzkiego uda, zakończona głową przypominającą głowę żółwia”.

REALNE „POTWORY” I ŻYWE SKAMIEŃCZOŚCI

Toż morska jest środowiskiem równie nieprzystajnym człowiekowi, co przestrzeń kosmiczna. Pod wodą mamy do czynienia ze zjawiskiem wygasania światła słonecznego, a także jego rozpraszania. Praktycznie rzecz biorąc na głębokości 100 m jest już ciemno. Dolna granica fotosyntezy w morzu, przy najbardziej sprzyjających warunkach, przebiega na głębokości 35 m. Również fale radiowe rzadko dochodzą głębiej niż na 30 m, a dolną granicę ich zasięgu stanowi głębokość 60 m. Jakże niedoskonałe wygląda technika, którą dysponujemy, w porównaniu z możliwościami np. delfinów. Trudno więc marzyć, żebyśmy w niedługim czasie potrafili aktywnie uczestniczyć w poszukiwaniu nowych gatunków. Zdani jesteśmy w tym względzie na ślepy los, przypadek, bo to właściwie on decyduje o tym, jakie zwierzęta znajdujemy w sieciach.

Nie upłynęło jeszcze pół wieku od chwili, gdy W. Beebe jako pierwszy naruszył w swej batysferze wieczną ciemność oceanu, a niespełna 30 lat od wycieczki A. Picarda — pioniera żeglugi głębinomorskiej (twórca batyskafu — statku głębinowego o własnym napędzie). Trzeba pamiętać, że na mapach oceanów do chwili obecnej widnieją niewiele punktów, gdzie człowiek zanurzył się poniżej 1000 metrów.

W sferze fantazji pozostaje nadal technika połowu w głębinach morskich, umożliwiającą chwytanie dużych, aktywnie poruszających się zwierząt. Potwierdzeniem tego może być fakt, że żaden rybak nie złapał w swoje sieci gigantycznego kalmara Architeuthisa. O jego istnieniu dowiadujemy się tylko drogą pośrednią, z relacji naocznych świadków, którym mało kto wierzył, i wtpliwych śladów, które pozostawiał jego przysawki na skórze kaszalotów. Dopiero w 1888 roku na wybrzeżu Nowej Zelandii znaleziono martwego osobnika o długości przekraczającej 17 m.

Wszczęświatowy ocean, do dziś nie zbadany i nadal zwiększo opierający się ludzkim marzeniom o naruszeniu tajemnicy jego głębin, jest śledziem „niewyobraźalnych” stworzeń. To fakt bezsporny. Zamieszkuje go np. wielki biały rekin (Carcharodon rondeleti), osiągający 20 metrów długości, który być może stał się natchnieniem dla twórców filmu „Szczęk!”; 15-25-metrowy rekin wielorybi (Rhincodon typus); olbrzymi kalmar (Architeuthis princeps), przekraczający 20 metrów i stanowiący bezspornie pierwowzór krakena z legend skandynawskich; czy wreszcie największe zwierzę, jakie kiedykolwiek żyło na Ziemi, płetwal błękitny (30 m długości, 120-150 t).

Ocean wszczęświatowy zajmuje 71 proc. powierzchni naszej planety, mieści w sobie w przybliżeniu 1370 mln km sześć wód, a jego średnia głębokość wynosi 4200 metrów — to także fakt.

Faktem jest również, że w 1938 roku przy brzegach Południowej Afryki wyłowiono rze-

komo wymiaru przed 70 mln lat rybę trzonopłetwą Latimeria. W sieciach duńskiego statku naukowo-badawczego „Galathea” (wyprawa w latach 1950-52) odkryto ze zdumieniem mięczaka (Neoplina galathea), spokrewnionego z dawnośmi (pochodzący przed 350 mln lat) kopalnymi przedstawicielami rodzaju Pli-

lina. Analogia to oczywiście nie dowód, ale wobec powyższego, czy nadal pytanie o istnienie wielkich morskich stworzeń nieznanymi nauce, bądź takich, które zdołały przetrwać niezmienione do czasów współczesnych, pozostanie pytaniem niedorzecznym, synonimem dziennikarskiej kaskadki? Poruszony temat wymaga zajęcia stanowiska, nie pozostawia nikogo obojętnym, choć, spekulując, rozstrzygnąć go ostatecznie nie sposób.

## FANTAZJA...

Uznany specjalista, autor poczynnych prac z zakresu wiedzy o morzu, K. Demel stwierdza: „...Cała fauna głębinowa, mimo jej pozornej odrębności, w związku ze szczególnymi warunkami środowiska, mieści się z łatwością w obrębie drobniejszych kategorii systemu klasyfikacyjnego”. Dodaje jednak: „Wody głębinowe skupiły stosunkowo mniej liczne formy zwierzęce, przystosowując je do osobliwych warunków środowiska. Dawne typy przetrwały do dni dzisiejszych niży w rezerwach”.

Innymi słowy, ślady procesu ewolucji w postaci zachowanych archaicznych form powinny przetrwać w świecie żywych istot zamieszkujących środowisko oceaniczne. W głębinach panuje przecież stała temperatura 0,5-2,5 st. C, nie wykazująca wahań sezonowych, zasolenie utrzymuje się na jednakowym poziomie w granicach 38,4±0,2 promili, a tlen — niezbędny do życia — rozpuszczony jest w dostatecznych ilościach.

Popuśmy zatem wodze fantazji. Oto w oceanie przetrwali jacyś odlegli antenaci rodu morskich gadów współczesnych. Panujące w mezozoiku (przed 225-70 mln lat) wielkie jaszczury nie wymarły bezpowrotnie. Gdzieś na wielkich obszarach mórz wynurza się z fal ichtiozaur — jaszczur, który osiągnął najwyższy stopień przystosowania do życia w wodzie, a pospolite w jurze i kredzie (przed 180-70 mln lat) długoszyje plezjozaury żerują wśród raf koralowych, kryjąc się przed przepływającymi okrętami i wścibskimi spojrzemiami.

Polączmy niektóre cechy opisanych w niniejszym artykule zwierząt. Dorobny kaszalotów szyję i paszczę plezjozaura, wyposażyjmy go w płuca żółwia, w ogon i łapy długonosa i czyż nie uzyskamy w ten sposób chimery rodem z marynarskich bajek i legend?

## ...CZY RZECZYWISTOŚĆ

Czym są w porównaniu z roztoczoną wizją następujące kontrargumenty?

Prawa dynamiki populacji wykluczają przetrwanie nielicznych grup zwierząt na przestrzeni znacznej liczby pokoleń, jaka dzieli czasy nam współczesne od ery wielkiego wymierania gadów pod koniec kredy.

Przyпуска się też, że obecne morza są bardziej słone, i że wielokrotnie dochodziło do zmiany regularnego systemu prądów morskich, od których zależy życie w danej strefie. Tak stało się na przykład przed 225 mln lat, gdy rozpadł się prakontynent — Pangea Wegenera. Podobnych dowodów dostarcza analiza ruchów płyt kontynentalnych. A przecież dzięki doskonałemu przystosowaniu się do życia w morzu, wielkie gady mezozoiczne stały się bardzo wrażliwe nawet na niewielkie zmiany warunków środowiska. Zresztą względna stałość ciepła oceanów sprawia, że współczesne organizmy wodne są również niezwykle czułe na wahań temperatury. Życie w morzu jest wyraźnie podzielone, ze względu na zasolenie, dopływ światła i ciśnienie. To sprawia, że zmiana któregokolwiek z tych czynników jest katastrofalna w skutkach.

Wreszcie, badania stratygraficzne dowodzą zaistnienia procesu masowego wymierania wielkich gadów, w tym gatunków morskich, u schyłku mezozoiku.

Wiara w potwory, w rozumieniu potocznym, jest, co można śmiało założyć, tak stara, jak wielokom jest rodzaj ludzki i jako taka musi podlegać zupełnie innym kanonom wartościowania niż normy, które stosuje się zwykle do faktów. Te zaś w odniesieniu do zwierząt, które nauka zaliczyła w poczet wymarłych przed milionami lat, są nadzwyczaj enigmatyczne, żeby nie powiedzieć żadne — często sprzeczne — co na pewno nie przyczynia się do wzrostu stopnia wiarygodności takich faktów.

Zakładając istnienie na naszej planecie dużych, nie opisanych jeszcze przez zoologów, kręgowców, trzeba pamiętać, że założenie to można zweryfikować jedynie w miejscach trudno dostępnych, nie do końca zbadanych, i co jest warunkiem sine qua non, rzadko zaludnionych. Takich terenów na Ziemi w drugiej połowie XX wieku pozostało niewiele na lądach, podczas gdy głębinę mórz i oceanów są nadal niemal dziewicze, czekają: dopiero na swego Challenge'a.

Przytoczone relacje dobrane były pod specjalnym kątem. Chodziło o wielkie, nieznanie zwierzęta, przypominające gady mezozoiczne. Doniesienia te są typowe. Mają swoje braki, jak każdy opis bez pokazu. Dziwnym zbiegiem okoliczności szczątki wyrzuconych na brzeg zwierząt trafiły najczęściej do laboratoriów, zdjęcia wykonywane były niefachowo, opowieści świadków — bywało — co do słowa przypominały popularne opisy dinozaurów w książkach poświęconych paleontologii. Pamięlajmy jednak zdanie zamieszczone w „Encyclopaedia Britannica” pod hasłem sea monsters (potwory morskie): „...Nawet kiedy wszędzie te możliwości sprawdzono, wciąż pozostaje pewna liczba niezależnych od siebie i pozornie wiarygodnych historii, które nie są w wystarczający sposób wyjaśnione”.

ŚLAWOMIR PIKUŁA

NR 35 [1326] XXVI 27 SIERPNI 1983 R.